



TRYBUNA

12 stron
CENA
1 zł

r 268 (554)
11-12 XI. 1961 r.

ROBOTNICZA

WYDAWCA
447 548 egz.

**MAGAZYN
NIEDZIELNY**

ORGAN KW POLSKIEJ ZJEDNOCZONEJ PARTII ROBOTNICZEJ

W NUMERZE:

Władysław Dudziński — KŁOPOTY BENIAMINKA • Maria Wołodarska — DOKUMENTY POLSKIEJ REWOLUCJI • Krzysztof Wolicki — SOJUSZE PONAD STAN • Jan W. Gadomski — ŚWIAT W TYGODNIU • Henryk Szeleński — DYKTATOR WOPALACH • Ewa Wanaszka — PAMIĘTNIK WIEJSKIEJ NAUCZYCIELKI • LISTY PANA ZAGŁOBY • Władysław Szeleński — MAROKAŃSKIE SPOTKANIA • Zdzisław Hierowski — SIEMANKA CZY WALKA? • Wilhelm Szeleński — LYK DOBREJ POEZJI • Władysław Machajek — URODZIŁO SIĘ DZIECKO • Maria Podolska — PANORAMA ŁÓDZI I LUDZI • TRADYCJA CZY POMYŁKA? • Mgr Seweryn Boćkowski — STRZEŻMY SIĘ MOTOCYKLISTÓW! • Stanisław Lewicki — JAKICH MIŁIŚMY SOJUSZNIKÓW • Kalman Segal — SERCE REFERENCE

Wyższy poziom techniczny — lepsza organizacja

PORZĄDKOWANIA GOSPODARKI - AKT DRUGI

WARSZAWA (PAP)

W resorcie przemysłu ciężkiego ustalono wstępne założenia II etapu porządkowania gospodarki. Mianem pierwszego etapu określono tam akcje wprowadzenia norm technicznych, uzasadnionych. W przemyśle maszynowym w zasadzie we wszystkich fabrykach zastosowano już nowe normy. O programie prac II etapu poinformował przedstawiciela PAP wiceminister przemysłu ciężkiego inż. Antoni Czechowicz.

Etap ten jest jakby „wyższym stopniem wdrażania” wielkiej akcji porządkowania gospodarki. W oparciu o dotychczasowe usprawnienia organizacyjno-techniczne i nowe normy przemysł maszynowy przystąpi obecnie do bardzo szerokiej akcji w trzech kierunkach: porządkowania gospodarki materiałowej, podnoszenia poziomu technicznego i dalszego doskonalenia organizacji produkcji.

Wszystkie przedsiębiorstwa produkcyjne w tym przemyśle zajmą się obecnie ustaleniem konkretnych planów działania opartych na dokładnej analizie techniczno-ekonomicznej. Tak sformułowane plany każdego zakładu będą zatwierdzane przez odpowiednie komisje złożone z fachowców.

CIĄG DALSZY NA STR. 2



Sezon polowań rozpoczął się. Pierwsze wyniki pozwalają przypuszczać, że w br. plon polowań będzie bogatszy niż w roku ubiegłym. „Las” przewiduje skup około 1400 ton grubej zwierzyny, stanowiącej poszukiwany artykuł na rynkach zagranicznych, płatny od 600 do 850 dolarów za tonę. Na zdjęciu: myśliwi zainicjują sezon polowań na skraju lasu. Fot. — CAF Uchymiak



Wieża wiertnicza kop. „Moszczenica”

Foto: W. Wierzyński



W nowym mieszkaniu

Foto: St. Gadomski

Deszcz antydyktatorskich ulotek nad Lizboną

NOWA AKCJA ZWOLENNIKÓW KPT. GALVAO

PARYŻ (PAP) Zwoleńnicy kapitała Galvao, którzy wstąpił do swego czasu opozycji w sprawie „Santa Maria” dokonali w piątek nowej niecodziennej akcji wzmierzonej przeciwko reżimowi Salazara. Sześć osób, w tym jedna kobieta, opuszczała czteroosobowy samolot Super-Constellation zapewniający stałe połączenie między Casablancą a Lizboną. Samolot przeleciał nad stolicą Portugalii zrzucając ulotki po czym zawrócił do

Maroka lądując w Tangerze. Zwoleńnicy kapitała Galvao zwrócili się do władz marokańskich o udzielenie im azylu. Samolot odleciał następnie do Lizbony.

Przebieg wydarzeń był następujący:

Wkrótce po wystartowaniu samolotu z Casablanki sześciu Portugalczyków wtargnęło do kabiny pilotów obejmując kontrolę aparatu pod groźbą rewolwerów. Samolot nawiązał łączność z wieżą kontrolną lotniska lisbońskiego zawiadamiając, że nie może lądować. Przelatując

kilkakrotnie nad stolicą Portugalii samolot zrzucił tysiące ulotek, w których kapitan Galvao zalecał swym rodakom zwołanie wyborów powszechnych zapowiadanych na najbliższą niedzielę jako „oszukiwana farsa”. W ulotkach atakowano gwałtownie premiera Salazara dlatego, że prowadził on kraj do chaosu, nędzy i ruin. Ulotki były z największym „antytotalitarnym frontu” wolnych Portugalczyków przebywających za granicą.

Aczkolwiek władze portugalskie wydały samolotom wojskowym rozkaz wszczęcia pościgu za Super-Constellation, jednak zdołał on zmylić nasłanników i przedostać się na lotnisko Boukhle w

Tangerem. Lądowanie nastąpiło w kilkanaście minut po godzinie 12 GMT.

Na miejsce przybył szef regionalnego urzędu bezpieczeństwa Maroka Benabid. Przeprowadził on pierwsze przesłuchanie sześciu Portugalczyków, którzy zwrócili się z prośbą o udzielenie im azylu. Następnie przewieziono ich do urzędu bezpieczeństwa, gdzie kontynuowane jest przesłuchiwanie. Przy przesłuchaniu obecny jest kapitan Galvao. Władze marokańskie odmawiają chwytliwym ujawnienia nazwisk sześciu Portugalczyków.

Samolot odleciał do Lizbony z resztą pasażerów. Lądowanie w Lizbonie nastąpiło na kilka minut przed godziną 14 GMT.

PRZEMYSŁ chemiczny potrafi przemienić gaz ziemny w piękny kolorowy sweterek, lub ropę naftową w mocną i trwałą oponę do samochodu (możliwość takich przemian jest niemożliwością). Czyli — potrafi zkonkretyzować rzeczy, wobec których blednie cud w Kanie Galilejskiej. Ale ów biblijny akt miał w jednym przewagę: aby się spełnić, nie potrzebował takiej masy różnych skomplikowanych urządzeń, aparatów, przewodów i w ogóle rozmaitego, i to w najwyższym gatunku żelastwa, co dzisiejszy przemysł chemiczny. Bez urządzeń i aparatów, idącej w dziesiątki i setki tysięcy ton, nowoczesna chemia jest bezsilna.

Tymczasem zapewnienie koniecznej ilości i jakości aparatury dla naszego przemysłu chemicznego nie jest sprawą prostą. Jak się za chwilę przekonamy, stajemy tu przed licznymi i skomplikowanymi problemami, z których każdy z osobna nastrocza ogromne trudności. Musimy tu sięgnąć nieco do historii, ale jest to niezbędne dla zrozumienia aktualnej sytuacji, potrzeb i podjętych ostatnio w tej sprawie pewnych niezmiernie ważnych postanowień.

Chemia jest beniaminkiem naszej gospodarki narodowej. Tempo jej rozwoju wyprzedza dynamikę wszystkich innych gałęzi, nawet przemysłu maszynowego i słuszenie. W krajach wysoko uprzemysłowio-

barwnikarskich, które miały właśnie wytworzyć „Boruta”.

Sytuacja stawała się coraz bardziej napięta. Bilans sporządzony jeszcze w roku ub. na lata 1961 — 1963, kiedy to przemysł chemiczny zanurza osiągnięcia szczególnie wysoką dynamikę wzrostu, wykazywał deficyt aparatury rzędu 70 — 80 tys. ton. Powstała groźna rozpiętość między zadaniami i środkami ich wykonania. Sytuacja ta nie mogła być, rzecz jasna, wynikiem przypadku. Jest ona rezultatem głębokich zaniedbań, braku pełnego zrozumienia dla obiektywnych potrzeb przemysłu chemicznego, braku koordynacji i myśli przewodniej w produkcji aparatury. W pewnym stopniu działały tu określone czynniki, ograniczające nasze możliwości. Niemniej fakty pozostały faktami. Przemysł ciężki zamiast stopniowo powiększać dostawy aparatury dla chemii, systematycznie je zmniejszał. O ile np. w r. 1956 dostawy z MPC dla resortu chemii wynosiły ok. 6800 ton aparatury, to w r. 1959 spadły do 4200 ton, czyli o ok. 40%. W Zjednoczeniu Budowy Maszyn Ciepłych (Zemak) które w resorcie jest głównym dostawcą aparatury (60 — 80% dostaw) dla chemii, przy wzroście całej produkcji towarowej od r. 1954 do r. 1959 o przeszło 61%, planowana wartość produkcji aparatury chemicznej w r. 1959 utrzymała się na poziomie roku wyciągowego, a jej udział w całej wartości produkcji Zjednoczenia

Po wtóre — czynnik ekonomiczny. Produkcja aparatury chemicznej ma na ogół charakter jednostkowy, jest więc bardziej pracochłonna niż asortymenty wytwarzane seryjnie. W Zjednoczeniu PBMC średnia wartość produkcji na 1 robotnika wynosi 150 tys. zł. w zakresie zaś aparatury — tylko 80 tys. zł. W istniejącym układzie cen, plac i miernikowoceny pracy przedsiębiorstwa produkują dobre, o które nam chodzi, jest mało rentowna. Stąd niechęć przedsiębiorstw do jej rozbudowy, co razem z wzięciem z „naciśnięciem eksportowym” władz nadrzędnych sprawiło że wytwórczość aparatury chemicznej stopniowo się kurczyła, a planowane już dostawy, wbrew rozmarzłemu specjalnemu zarządzeniu ministra przemysłu ciężkiego, a nawet prezesa Rady Ministrów, nie były w pełni wykonywane.

Nie idzie tu tylko o ilość aparatury. Założy nam na tym, aby polski przemysł chemiczny doścignął czołówkę światową pod względem poziomu technicznego wyposażenia, które zapewniłoby nam najwyższą wydajność procesów, najwyższą jakość produktów i najbardziej rozległy ich asortyment. Tymczasem analiza nowoczesności instalacji przemysłu chemicznego (w r. 1959) wykazała, że instalacji najnowocześniejszych mamy tylko 10%, tzw. współczesnych — 60% a przestarzałych — aż 30%. Z drugiej strony polski przemysł

Dołączmy, że baza projektowo-badawcza i konstrukcyjna w zakresie aparatury chemicznej jest dotychczas bardzo słaba i również rozproszona.

PO ROZUM DO MINISTERSTW...

W obliczu poważnych zadań przemysłu chemicznego sytuacja dojrzała do posunięć radykalnych. Nadszedł najwyższy czas na zaprowadzenie porządku w dziedzinie produkcji aparatury chemicznej, rozwinięcia mocy wytwórczych, ustalenia i realizowania racjonalnej; konsekwentnej polityki.

Te cele kreśli uchwała połączonych kolegium Ministerstwa Przemysłu Chemicznego i Ministerstwa Przemysłu Ciężkiego, podjęta w II kw. bież. roku. Uchwała ta stanowi program biegnący do nadania tej dziedzinie wytwórczości właściwej rangi w kraju, w którym chemia stale się przecieży przemysłem narodowym nr 1. Zrealizujemy pokrótce najważniejsze jej punkty.

Najpierw bilans aparatury. Przemysł ciężki (Zemak, który jest gestorem w tej dziedzinie), wziął na swe barki główny ciężar produkcji w tym zakresie. Szereg zakładów uległo rozbudowie, zbudowane zostały nowe zakłady, m.in. w Białymstoku o zdolności docelowej ok. 75 — 80 tys. ton aparatury rocznie (po r. 1965). Ogólna produkcja aparatury chemicznej wzrosła w r. 1965 w porównaniu z poziomem r. bież. przeszło 8-krotnie, w stosunku zaś do r. 1960 — więcej niż 13-krotnie. Można sądzić, że w ten sposób deficyt ilościowy aparatury będzie w najbliższych latach zaspokojony, ale przecież nie tylko o to chodzi. A zresztą osiągnięcie nawet tylko tego jednego celu wymaga czegoś więcej, niż rozbudowy samych urządzeń wytwórczych. To także kwestia organizacji, zaplecza naukowego itp.

Do najważniejszych postanowień uchwały należy wprowadzenie zasad generalnego dostawcy kompletnych linii technologicznych. Funkcje te przejmą po rozbudowie największe przedsiębiorstwa wytwórcze: Zakład Urządzeń Przemysłowych w Nysie, Zakład Budowy Przewodów i Armatury w Kielcach, a potem także nowa fabryka ciężkiej aparatury w Białymstoku. Wyszło systemu kompletności nad dotychczasową metodą dostaw, dosłownie często „wydzieranych” od kłunkunastu, lub nawet kilkudziesięciu przedsiębiorstw przez inwestora, jest tak znana i bezsporna, że nie wymaga bliźszego uzasadnienia. System ten zdobył sobie już od dawna prawo obywatelstwa w krajach wysoko uprzemysłowionych. Zresztą i nasz przemysł stosuje go z pełnym powodzeniem, np. w zakresie dostaw kompletnych obiektów na eksport (cukrownie, cementownie, wytwórnie betonów itd.). Obowiązek kompletności i dostaw całych linii technologicznych odniesie odpowiedzialność wytwórców aparatury i niewątpliwie przyczyni się do skrócenia cyklu inwestycyjnego w przemyśle chemicznym.

Wprowadzenie tej zasady będzie poprzedzone pozebleniem specjalizacji poszczególnych przedsiębiorstw i zakładów, zarówno w warsztatach i zakładach aparatury przemysłu chemicznego, jak i w przedsiębiorstwach resortu przemysłu ciężkiego.

NAUKOWCY NA POMOC

Przemysł aparatury chemicznej doczeka się wreszcie także zaplecza naukowo-badawczego i konstrukcyjnego z prawdziwego zdarzenia. Powstana dwa takie ośrodki. Centralny Ośrodek Badawczy i Projektowo-Konstrukcyjny Aparatury Chemicznej w Krakowie (w oparciu o Centralne Biuro Aparatury Chemicznej w Zi. Przem. Bud. Masz. Ciężkich) prowadzić będzie głównie prace badawcze i projektowo-konstrukcyjne w zakresie urządzeń i aparatury wytwarzanej w przedsiębiorstwach przemysłu ciężkiego oraz prace normalizacyjne-typizacyjne dla całej krajowej produkcji aparatury i urządzeń chemicznych.

Druga placówka tego typu będzie Ośrodek Aparatury Chemicznej przy Warszawskich Zakładach Budowy Urządzeń Chemicznych, w ramach Zjednoczenia Budowy Aparatury Chemicznej (w resorcie przemysłu chemicznego). Nałożono nań zadania badawcze i niektóre prace projektowo-konstrukcyjne w zakresie urzą-

CIĄG PALSZY NA STR. 4

PRZED XX - LECIEM PPR

DOKUMENTY POLSKIEJ REWOLUCJI

MARIA WOŁODARSKA

PRZESADEM jest mniemanie, że dokumenty-uchwały, instrukcje operujące nie tyle obrazem co relacją, pouczeniem czy imperatywem — nie nadają się na „coś do poczytania”. Wręcz odwrotnie — jeśli dać im się trochę odleżeć — mogą stać się frapujące. Odnosi się to nie tylko do dokumentów bardzo starych, wabiących odmiennością języka czy odsłaniających fakty współczesnym nieznane.

16 lat to nie tak dużo w historii narodu i państwa. Ci którzy urodzili się przed 16 laty, niewiele jeszcze wiedzą o prawdziwym życiu, nawet jeśli po kryjomu palą papierosy i chodzą na niedozwolone filmy. Tymczasem w ciągu tych 16 lat dokumenty, o których będzie mowa, „odleżały się” tak, że właśnie dziś stały się szczególnie frapujące i pouczające. Dzieli nas bowiem od nich okres nie za mały, by nie starczyło koniecznego dystansu; i nie za duży, by nie nastroczał refleksji typu muzealnego. Mowa tu o dokumentach zawartych w wydanej przez Zakład Historii Partii przy KC PZPR z okazji 20-lecia Polskiej Partii Robotniczej książce pt. „PPR”. Wszystkie te dokumenty odnoszą się do jednego tylko 1946 roku. Sekretarzem partii był wówczas Władysław Gomułka.

★

Przed pięciu mniej więcej laty dyskutowaliśmy dużo i zapałczywie na temat rozwoju naszej rewolucji. Na temat jej mechanizmów, sił napędowych i zasięgu. Był to okres, w którym jednocześnie zaczęliśmy się powoływać na leninowskie twierdzenie o możliwej różnorodności i specyfice brania władzy przez klasę robotniczą w zależności od warunków historycznych, narodowych... Nierzadko wydawało się nam wówczas, że odkrywamy za Leninem te prawdy o raz pierwszy i nie wiem ilu z nas, ówczesnych dyskutantów, sięgało do dokumentów pierwszych lat.

W roku 1946 nacjonalizacja przemysłu była już, jak wiadomo, faktem usankcjonowanym ustawą o nacjonalizacji. To dopiero ustawa wprowadziła zasady określające co podlega, a co nie podlega narodowieniu. W omawianej książce jest okólnik Wydziału Ekonomicznego KC PPR, w którym czytamy:

„... Na fabrykach i zakładach pracy, które mają przejść na własność właścicieli prywatnych, wyjaśnić robotnikom stanowisko partii w sprawie inicjatyw prywatnej i wynikającej stąd zadania dla organizacji partyjnej. Tam, gdzie będą opory przeciwko oddaniu z powrotem B. właścicielom ich zakładów pracy, układowi robotników o niecelowości przeciwstawiania się wykonaniu ustawy...”

Dzisiejsza wartość tego dokumentu na tym chyba polega, że wskazuje on z jednej strony na nastroje klasy robotniczej, która faktycznie władzę brała, z drugiej zaś strony przypomina o tym, że w rok załedwie po wyzwoleniu, w obliczu nateżonych walk wewnętrznych, czyli trywania w pełni rewolucji — PPR stała na stanowisku prowadzącego porządek i wprowadziła go zgodnie ze swym programem, z potrzebami ówczesnej ekonomii.

Nasza pamięć o napięciu walki klasowej w omawianym 1946 roku warto wspierać przez zawarte w tomie dokumenty. W styczniu Komitet Centralny PPR wydaje okólnik w sprawie „zasilków i pomocy dla osób pozostałych po uczestnikach ruchu partyzanckiego i podziemnego” a w marcu okólnik „w sprawie zasilków i pomocy dla wdów i sierot po ofiarach wrogów demokratycznego ustroju Polski”. W październiku KC przypomina Instancjom partyjnym o uchwale Rady Ministrów z lutego o powołaniu ORMO „celem zapewnienia porządku i bezpieczeństwa ludności nękanej przez bandy faszystowskie”. A w parę dni później — okólnik KC w sprawie poboru nowego rocznika do Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

W tym roku — decydującym dla utrwalenia władzy ludowej, dla stabilizacji stosunków na zewnątrz i wewnątrz młodej państwowości polskiej — poległo 8 tysięcy ludzi w walce z faszystowskim podziemiem. 60 procent stanowili członkowie naszej partii.

★

W roku 1946 reforma rolna — akt rewolucyjny o szczególnym znaczeniu w kraju chłopskim, w kraju którego burżuazja nigdy nie zdobyła się na wykonanie nawet swego „burżuazyjnego obowiązku” — nie była jeszcze doprowadzona do końca. Ogrom zadani wymaga konsolidowania sił. Kraj wydławał się z gruzów, jak z zasklepionej skorupy, 3-letni plan odbudowy (O względności rzeczy! Wówczas wydławał nam się, zresztą chyba i był — gigantycznym zamierzeniem) proklamował podwyższenie dochodu narodowego w 3 roku do poziomu 234 proc. w stosunku do 1946 r., a konsumpcji do 237 proc. (Czy pamiętacie w co się ubieraliśmy i co konsumowaliśmy?)

★

We wrześniu 1946 r. KC PPR podejmuje uchwałę, w której czytamy m. in.:

„Aby uniknąć rozproszkowania sił i zaostrezenia walk wewnętrznych, aby skupić wszystkie twórcze siły narodu dookoła wspólnych celów, KC PPR wypowiada się za rozciągnięciem wyborów w najbliższym terminie oraz za stworzeniem bloku wyborczego 6 stronnictw koalicyjnych Rządu Jedności Narodowej... KC PPR przyłącza się do uchwały CKW bratniej FPS, która zwróciła się do NKW PSL o zajęcie definitywnego stanowiska wobec Demokratycznego Bloku Wyborczego”.

Definitywne stanowisko PSL brzmiało, jak wiadomo, „nie” (czy pamiętacie historyczne „tyż raz tak?”). Mikołajczyk zamawiał słynnym zadaniem aż 75 proc. mandatów poselskich. (Miało się te aspiracje! W tym zadaniu jest coś z rydzowskiego, burznicznego „ani guzika!”). Chciał iść sam do wyborów! Czytanie dokumentów z tamtego okresu stało się pogładową lekcją przegranych, gdy się gra mając do zaferowania w zamian za władzę jedynie młodość brzmiały frazes i drogę do nikąd. Wspomnijmy na marginesie, że w granice rzeczy żądanie 75 proc. mandatów ze strony PSL — jeśliby kto chciał to brać na serio — oznaczało zupełnie niedwuznacznie stawkę na zamrażanie, reprodukcję sytuacji kraju rolniczego, zacofanego — marginesu Europy. Narzecze się to komuś w Polsce nie udało! Dla samej satysfakcji przypominamy sobie tej prawdy — warto wertować „stare dokumenty”.

★

Książka zawiera również waleń przypominania atmosfery nastroju w okresie kształtowania się partii i Polski Ludowej. Tom rozpoczyna się od pierwszego w 1946 roku okólnika KC PPR w sprawie konkursu na wspomnienie ogłoszonego przez „Chłopską Drogę”. W parę załedwie dni potem KC PPR podejmuje uchwałę w sprawie utworzenia czasopisma naukowego dla inteligencji. „Pożądane jest — czytamy w uchwale — stworzenie poważnego czasopisma naukowego typu francuskiej „Revue”, poświęconego propagowaniu światopoglądu marksistowskiego wśród inteligencji”. Pismo nie powinno podejmować walki z kościołem, a prowadzić natomiast stanowiącą walkę z ofensywą klerykalizmu...”

★

Moga dziś skłówać niektóre terminy (i związana z nimi praktyka), jak np. „wzburzenie do partii” czy inne. Ale każdy z tych dokumentów mówi prawdę o pierwszych krokach naszej rewolucji, o założeniach programowych Polskiej Partii Robotniczej — o fundamentach naszego dzisiejszego programu.

KŁOPOTY BENIAMINKA

nych chemia jeszcze bardziej, niż u nas, wyprzedza inne dziedziny. Bo jest to gałąź, która ma już dziś takie znaczenie i spełnia taką rolę, jaką osiągnęły wszystkie inne dziedziny. Gdy jednak w ostatnich latach jej tempo wyraźnie wzrosło, zarysowały się poważne trudności. Dostawy aparatury dla tego przemysłu były wysycie niedostateczne. W r. 1957 do pełnego zrealizowania planu dostaw zabrakło 15%. W roku następnym „poślizg” zwiększył się do 30%. W r. 1959 wynosił 20%, w r. 1960 — 14%; to był pod tym względem najlepszy rok dla chemii. W I półroczu br. plan dostaw został wykonany tylko w 73%, zabrakło więc aż 27%.

Skutki? W r. 1959 przyczyną blisko połowy wszystkich spóźnień w realizacji inwestycji chemicznych był brak aparatury. Co konkretnie tracimy? Dwa, wyteż z mnożstwami. Przykłady. Opóźnienie o ok. 1 rok uruchomienia wydziału streptomycyny w Tarchomińskich Zakładach Farmaceutycznych z powodu niedostarczenia w terminie tylko 3 suszarek jest równoznaczne ze stratą w produkcji na sumę 80 mln zł. Opóźnienie o 3 lata (4) dostaw autoklawów z Zakładów im. Szczodrowskiego w Krakowie dla fabryki „Boruta” w Zgierzu wyraża się stratą ok. 7,2 mln rubli wydatkowanych na import półproduktów

z Niemiec i dyplomatycznej, radzieckiej nie ustępować i wreszcie wykrywać zrywania tam, USA aprowizuje, jednak mowy być nie mogło o nadawaniu im wyższych rang, która przysługiwała jedynie interesom USA. Pyszna i zarysowała postawa polityków i dyploma-

zmniejszył się o 38%. Przemysł chemiczny, bezskutecznie od lat kolatający o szybką rozbudowę produkcji aparatury w najbliższym do tego powołanym resorcie, starał się ratować sytuację i rozwijał produkcję aparatury we własnych warsztatach mechanicznych dając już jej w roku 1960 przeszło dwukrotnie więcej niż cały przemysł ciężki.

W roku ub. powołano nawet w ramach tego resortu Zjednoczenie Budowy Aparatury Chemicznej, skupiające zakładami i warsztatami kierowanymi uprzednio przez resort, ale to sprawy jeszcze nie rozwiązało.

NA EKSPORT...

W ciągu ostatnich 10 lat nie tylko nie budowano projektowanych poprzednio trzech wytwórni aparatury i urządzeń o łącznej zdolności blisko 70 tys. ton, ale dopuszczono do stopniowego ograniczania potencjału przemysłu ciężkiego w tym zakresie. Wiele zakładów produkujących kiedyś aparaturę chemiczną, i to na zupełnie dobrym poziomie, eliminowało ten asortyment, przedstawiając się na zupełnie inną produkcję.

Dlaczego? M.in. z dwóch względów. Niski koszt, na Zemak był tego rodzaju dawalcie produkcję eksportową, dawalcie turbiny, maszyny ciężkie itp. Te apele poparte były rozmaitymi premiami.

Ponieważ potencjał Zjednoczenia Przemysłu Budowy Maszyn Ciepłych jest raczej skromny (15 tys. robotników, tzn. nie wiele więcej niż np. jedna fabryka aparatury chemicznej w Czechosłowacji), a zadania eksportowe i inne szybko rosły, produkcja dla przemysłu chemicznego schodziła na dalszy plan.

aparatury nie jest obecnie w stanie sprostać potrzebom radykalnego unowocześnienia urządzeń wytwórczych chemii.

Obecnie nasz przemysł wykazuje nadmiar zdolności produkcyjnych w zakresie aparatury prostej, na którą nie ma wielkiego zapotrzebowania, brak natomiast możliwości produkcji aparatury ciężkiej, podstawowej (m.in. wysokociśnieniowej, platerowanej itd.) która w dzisiejszym stanie techniki odgrywa decydującą rolę. Aparaturę dla syntez, maszyn dla przemysłu włókien sztucznych, przetwórstwa tworzyw i gumy, dla rafinerii i petrochemii i innych dziedzin — musimy importować. Importujemy także prawie wszystkie pompy, sprężarki, wirówki, urządzenia kontrolno-pomiarowe itd. Jest to import bardzo kosztowny; w latach 1961 — 1965 pochłonięto prawie 1 mld zł dewizowych.

Potrzeby naszego przemysłu chemicznego w zakresie aparatury i urządzeń krajowy przemysł maszynowy zaspokaja w ulicę wartościowym mniej więcej w połowie, wagowo zaś — załedwie w ok. 25 — 30%. Wskaźniki te, zwłaszcza w zestawieniu z faktem, że nasz przemysł maszynowy pokrywa ogólnie zapotrzebowanie krajowe w ok. 80% wskazują wyraźnie na upośledzenie przemysłu budowy aparatury i urządzeń dla chemii.

Dalsza sprawa to nadmierne rozproszenie produkcji. Aktualna produkcja aparatury chemicznej (łącznie ok. 50 tys. ton) prowadzi się aż w 54 zakładach. Wspomniany już czechosłowacki zakład sam jeden wytwarza jej więcej. Ponadto, z wyjątkiem zakładów w resorcie chemii, żaden zakład nie produkuje wyłącznie aparatury chemicznej, lecz stanowi ona zawręczal jeden z wydziałów przedsiębiorstwa. Rozdrobnienie produkcji praktycznie wyklucza racjonalną specjalizację, postęp techniczny i ekonomiczny, rozszerzenie asortymentu, wybór najszybszego profilu produkcji i organizacji itd.

NA MAPIE TEGO ŚWIATA

SOJUSZE PONAD STAN

KRZYSZTOF WOLICKI

Stapla w wyniku przesunięcia w wewnętrzny układ blok aliantów, USA zachowały (z pomocą brytyjskiej) przewagę absolutną. Tylko one w bloku zachodnim dysponują bronią jądrową na wielką skalę. Otóż jest rzeczywiście zamienią, że aktu

W planach politycznej przesunięcia jest mniej wyraźne niż rzeczywiście przebieg, skryzalizowanie się jednak na podstawie Wspólnoty Rynku niemiecko-francuskiego sojuszu, który trzyma w szachu przynajmniej W Brytanii zmuszona jest do zupełnej zmiany strategii ekonomicznej, poważnie naruszyło również polityczną supremację USA.

W dziedzinie strategicznej, na planie politycznej, USA zachowały (z pomocą brytyjskiej) przewagę absolutną. Tylko one w bloku zachodnim dysponują bronią jądrową na wielką skalę. Otóż jest rzeczywiście zamienią, że aktu

W dziedzinie politycznej przesunięcia jest mniej wyraźne niż rzeczywiście przebieg, skryzalizowanie się jednak na podstawie Wspólnoty Rynku niemiecko-francuskiego sojuszu, który trzyma w szachu przynajmniej W Brytanii zmuszona jest do zupełnej zmiany strategii ekonomicznej, poważnie naruszyło również polityczną supremację USA.

NIEZBYT uważny obserwator polityki międzynarodowej narazony jest zawsze na podobne niebezpieczeństwo, co słuchacz komunikatów meteorologicznych. W zaletach radiowych często powtarza się formula „temperatura bez większych zmian”, a tymczasem co pół roku zima następuje przecież po lecie i odwrotnie... W swoim czasie a było to w okresie niemal absolutnej polaryzacji sytuacji światowej, zdarzyło mi się napisać artykuł, zawierający spekulacje na temat awansów sojuszu, które nie tylko (jedna strona me delu) stanowią przenośnik woli politycznej wielkich mocarstw, lecz również (druga strona) zmniejszają ich swobodę decyzyjną, obciążonej oddać całym onskiem mniej czy bardziej partykularnych interesów poszczególnych sojuszników. Spekulacja, jak to spekulacja, została uznana za „interesującą, lecz abstrakcyjną”; nie mogło sobie dziś odmówić satysfakcji, powrotu do tego tematu.

Biorąc o to reki „New York Herald Tribune” z 25 X. br. z kolejnym artykułem Lippmanna na temat sytuacji w NATO w obliczu postulatów radzieckich. Wytrawny publicysta oburza się bardzo na Niemców i Francuzów za wkładanie przez nich kija w sprzyszy amerykańskiej maszyny po

litycznej i dyplomatycznej, radzieckiej nie ustępować i wreszcie wykrywać zrywania tam, USA aprowizuje, jednak mowy być nie mogło o nadawaniu im wyższych rang, która przysługiwała jedynie interesom USA. Pyszna i zarysowała postawa polityków i dyploma-

Na ogół zwraca się, oczywiście uwagę na merytoryczne racje tych sporów, warto może tym razem za stanowić się nad zmianą pozojczy USA w sojuszu atlantyckim, której ta walka polityczna jest wyrazem. Chodzi — w jednoznacznie sformułowaniu — o to, że system sojuszu stworzony przez USA zaczyna przetracać możliwości tego mocarstwa, że staje się to stopniowo stanem ponad stan.

Byłoby zapewne pletuszenie twierdzić, że amerykańskie sojusze wyrażają pierwotnie li tylko amerykańskie interesy; powołano je do życia w imię zasadniczych, ponadnarodowych interesów klasowych mono politycznej burżuazji. Istota sprawy w tym jednak tkwiła, że interesy te identyfikowano wówczas z interesem kół rządzących USA. Partnerzy mogli mieć

I mieli, swoje interesy odrębne, partikularne, nawet z konkretnymi postulatami USA aprowizuje, jednak mowy być nie mogło o nadawaniu im wyższych rang, która przysługiwała jedynie interesom USA. Pyszna i zarysowała postawa polityków i dyploma-

Stapla w wyniku przesunięcia w wewnętrzny układ blok aliantów, USA zachowały (z pomocą brytyjskiej) przewagę absolutną. Tylko one w bloku zachodnim dysponują bronią jądrową na wielką skalę. Otóż jest rzeczywiście zamienią, że aktu

W planach politycznej przesunięcia jest mniej wyraźne niż rzeczywiście przebieg, skryzalizowanie się jednak na podstawie Wspólnoty Rynku niemiecko-francuskiego sojuszu, który trzyma w szachu przynajmniej W Brytanii zmuszona jest do zupełnej zmiany strategii ekonomicznej, poważnie naruszyło również polityczną supremację USA.



JAN W. GADOMSKI

NA CZOŁO wydarzeń politycznych minionego tygodnia wysuwają się niewątpliwie radzieckie propozycje rozbrojenia, zawarte w przemówieniu NIKITY CHRUSCZOWA i w oświadczeniu TASS-a. Odpowiadając na propagandową wrzawę, wznieconą na Zachodzie wokół radzieckich próbnych eksplozji termojądrowych, premier ZSRR podkreślił, iż Związek Radziecki nie mógł zrezygnować z dokonania tych prób w sytuacji, gdy kraje NATO grożą mu wojną w wypadku zawarcia traktatu pokojowego z NIEMCAMI. Jednakże ZSRR w każdej chwili gotów jest nie tylko przerwać próbną eksplozję, lecz wręcz zniszczyć zasoby posiadanej broni termojądrowej — oczywiście na prawach wzajemności, w ramach powszechnego, kontrolowanego rozbrojenia.

Oświadczenie to odbiło się w świecie głośnym echem, trafiając w aktualnej

linię sytuację uległa pewnemu odprężeniu. Amerykańskie zarządzenia o przeprowadzaniu na granicy dwóch Berlinów kontroli dokumentów przez zachodniobermberską policję mogą być interpretowane jako uznanie de facto istniejącego stanu rzeczy, istniejącej granicy państwowej NRD. Przy tym wszystkim jednak zachodni sojusznicy nie mogą przystąpić do konstruktywnych rokowań — hamowani przez brak jednoci między czterema największymi partnerami NATO.

ROLA NRF w zachodnim sojuszu występuje na tym tle szczególnie jaskrawo. Tradycyjnie już odgrywa ona rolę hamulca, wywierając nacisk na Londyn i Waszyngton, aby nie dopuścić do zmiany dotychczasowej „twardej” polityki. W tym świetle szczególnie interesująca będzie niedawna wizyta kanclerza ADENAUERA w Waszyngtonie. W kołach politycznych Zachodu panuje przekonanie, że prezydent KENNEDY będzie usiłował wywrzeć nacisk na Adenauera, aby skłonił go do zgody na konstruktywne rokowania z ZSRR. Z drugiej jednak strony ten sam prezydent Kennedy oświadczył na ostatniej konferencji prasowej, że USA nie podejmą żadnych kroków nie zaakceptowanych przez BONN. Jeśli więc Adenauer zgody nie wyrazi...

Na tym przykładzie widzimy, jak słuszne jest przekonanie głoszone przez nasz oboz, iż

polityka NRF w coraz większym stopniu warunkuje całość polityki ZACHODU. Przy znanym nastawieniu Bonn niebezpieczeństwo takiego stanu rzeczy nie ulega wątpliwości. Nie ulega też wątpliwości, że przytoczone fakty raz jeszcze potwierdzają potrzebę usunięcia podstaw, na jakich opiera się boński rewizjonizm, a więc potrzebę prawnoprawowego uformowania sytuacji w środkowej Europie. Rozumieją to kraje socjalistyczne, rozumie to poważna część państw niezaangażowanych. Czy zrozumie to polityka USA? Jaką będzie ta wspólna platforma, której Zachód tak długo dopracować się nie może? Czy wyrosła ona z ducha politycznego anglosaskiego racjonalizmu, czy z wojowniczej starogermańskiej mistyki? Mimo iż odpowiedzi na te pytania nie można dziś udzielić z całą pewnością autor jest przekonany, że zwycięży rozsądek i w ciągu niedługich miesięcy będziemy świadkami rokowań Wschód — Zachód.

A PROPOS NRF: targi polityczne wokół uformowania nowego zachodniemieckiego gabinetu udzieliły światu jeszcze jednej pouczającej lekcji. Ukazały one mianowicie jak złudne są pozory demokracji nad RENEM. Byliśmy bowiem wszyscy świadkami racjonalnie niezasadzonego zwycięstwa autorytetu jednostki — nad prawami demokracji. Przeciwno ADENAUEROWI stanęła na początku rządowych przetargów nie tylko koalicyjna FDP, lecz także znaczna część jego własnej partii. I mimo to „der Alte” postawił na swoim, podporządkował sobie przeciwników, został po raz czwarty kanclerzem. A tymczasem z punktu widzenia interesów NRF odejście Adenauera byłoby dla tego kraju zbawienne — i zdawało sobie z tego sprawę liczne grono burżuazyjnych polityków. Zwyciężył jednak — nie po raz pierwszy w historii burżuazyjnych Niemiec — nie interes kraju, lecz wodzowski autorytet jednostki. Jest to wyrazem niebezpiecznych przemian sięgających głęboko w życie polityczne NRF, przemian nie mających nic wspólnego z demokracją, nawet burżuazyjną. A symbolizowanych raczej przez haniebne aresztowanie jugosłowiańskiego partyzanta.

Koalicja CDU/CSU-FDP zapowiada niezmienną, zimnowojenną politykę zagraniczną Niemiec zachodnich. W połączeniu z wyraźną linią rozwoju NRF, wyrażającą się w odchodzeniu od demokracji i zwiększaniu wpływu czynników skrajnie nacjonalistycznych, stwarza to sytuację niepokojącą już dziś opinię publiczną nawet w krajach związanych z NRF więzami sojuszu. Rządy Adenauera zbyt zaczynają przypominać epokę HINDENBURGA aby co trzejście politycy burżuazyjni nie zadawali sobie pytania: co będzie po tym? Jak wiadomo, po Hindenburgu był HITLER. Tyle tylko że czasy się zmieniły, że sukcesy nowego hitlerka są dziś nie do pomyślenia i że naprawdopodobnie NIEMIECKA REPUBLIKA FEDERALNA przeżyje bolesny wstrząs polegający na zatamaniu się jej polityki z takim uporem uprawianej przez starego kanclerza. Będzie to cena, jaką kraj ten zapłaci za nieumiejętność wyciągania nauk z historii, za holdowanie do dziś starym fetyszom.

NA ZAKOŃCZENIE akcent wyraźnie optymistyczny. Wybór U Thanta na stanowisko sekretarza generalnego ONZ, będący kompromisem między ZSRR a USA, natchnął świat nadzieją na możliwość znalezienia przy pomocy tej samej metody rozwiązań i w innych spornych problemach. Metoda kompromisu ma to do siebie, że najtrudniejszy jest zawsze pierwszy krok w kierunku jej zastosowania. Miejmy nadzieję, że ten pierwszy, już uczyniony krok pociągnie za sobą inne, że ZACHÓD wyciągnie konsekwencje z powszechnie uznanego faktu, iż jego „twardy” upór na nierealistycznych stanowiskach oznacza dla całej ludzkości balansowanie na granicy zagłady.

O sobliwe pociągnięcie władzy zmuszającego reżimu południowo-wietnamskiego odnotowały ostatnie agencje prasowe. Wobec wzrastającego niezadowolenia mas sajsjoński dyktator Ngo Dinh Diem postanowił rzucić do ataku przeciw „powstańcom komunistycznym”... armię kurtyzan! Bez uśmiezków, drodzy Czytelnicy. Sprawa jest poważna. Inicjatywa utworzenia tzw. armii kobiecej południowego Wietnamu wyszła od szwagierki dyktatora Ngo Dinh Nhu — notabene właścicielki kilku domów publicznych w Sajgonie — tudzież kilku kin w Paryżu. A skoro inicjatywa wyszła z tak wysokiego szczebla, południowo-wietnamski „parlament” czym prędzej zatwierdził odpowiednią ustawę precyzującą w niej m. in., że owa armia powinna być zwerbowana głównie spośród tzw. „taxi girls”, zawodowych fordanserek itp., których aż zatrudnienie w różnych klubach nocnych czy domach schadzek Sajgonu.

Zachodzi tylko pytanie, jeśli nowa „armia” ruszy do boju, cóż pozostanie rodzina dyktatora? Przecież dziś czerpie ona z tych instytucji wcale pokaźny dochód...

Ta humorystyczna w swej wymowie historia ma jednak swój tragiczny aspekt. Świadczy ona bowiem jakim poparciem cieszy się dyktator we własnym kraju, skoro uciekać się musi do tak oryginalnych pociągnięć. Skądinąd wiadomo, że tonący brzytwą się chwyta...

Istotnie. Wydarzenia, jakie ostatnio rozgrywają się w Wietnamie południowym zdają się wskazywać, że krwawy dyktator we własnym kraju, skoro uciekać się musi do tak oryginalnych pociągnięć. Skądinąd wiadomo, że tonący brzytwą się chwyta...

Ale od początku — przedstawmy jak sprawy stoja.

7 lat rządów Ngo Dinh Diema to 7 lat terroru. Nie mogło być zresztą inaczej, skoro z rozkazu swych waszyngtońskich protektorów reżim Diema widział swe główne zadanie w utrzymaniu w południowym Wietnamie wpływów imperializmu i przekształcenie tego kraju w amerykańską bazę militarną. By prowadzić taką antynarodową politykę trzeba było pozbawić ludność najbardziej podstawowych praw i swobód obywatelskich. Zakazana została działalność wszelkiej opozycji politycznej. Przeciwnicy reżimu zapelniali więzienia i obozy koncentracyjne. Nie kryją tego nawet źródła



Pretorianie Diema defilują przed jego pałacem

Foto — AR

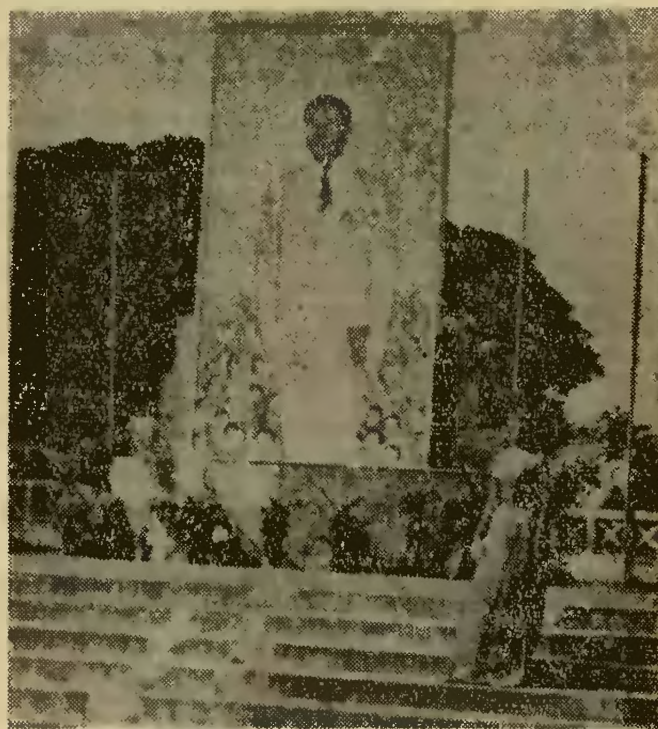
zachodnie podając, że w więzieniach Diema znajduje się 40 tys. osób. W istocie liczba aresztowanych sięga setek tysięcy. W całym kraju szaleją sady doraźne, które masowo wydają wyroki śmierci. W kraju szerzy się bezrobocie i głód. Chłop południowo-wietnamski głoduje. Dzieje się tak mimo ogromnej (od 1955 r. — 1,4 mld. dolarów!) amerykańskiej pomocy gospodarczej, którą Diem wykorzystuje na wzmocnienie swego aparatu ucisku lub też na zakup luksusowych towarów dla swego otoczenia.

Antynarodowy charakter polityki Diema musiał zrodzić ruch protestu. Już w pierwszych dniach rządów Diema, w szeregu demonstracjach ludność domagała się zmian tej polityki. Gdy jednak diemowskie ekspedycje karne rozpoczęły eksterminację mieszkańców całych wsi i rejonów południowego Wietnamu, ludność w obronie własnej chwyciła za broń. Dziś ruch oporu przybrał formę zakrojonej na szeroką skalę zbrojnej walki powstańczej. Skupia on wszystkie warstwy społeczeństwa od robotników i chłopów po kupców i przemysłowców. W roku 1960 powstał południowo-wietnamski Front Wyzwolenia Narodowego, który objął kierownictwo polityczne i wojskowe nad oddziałami powstańcami. Od tego też czasu datują się coraz większe sukcesy oddziałów powstańczych. Dziś powstańcy sprawują faktyczną władzę w ponad 20 na 36 południowo-wietnamskich prowincji. Od głosu strzelaniny słychać już w Sajgonie. Dyktator kontroluje właściwie tylko to miasto i kilka przylegających doń prowincji. A i to jedynie nocą.

Armia Diema, jeden z filarów jego reżimu trzeszczy więc w szwach. Bo jakże inaczej wytłumaczyć fakt, że wojska powstańcze obliczone (przez źródła zachodnie) na 10 — 15 tys. ludzi „zdobywają teren” mimo, że po drugiej stronie „barykady” stanęła ogromna — 200 tys. licząca regularna armia, wyposażona w nowoczesną broń amerykańską i wyszkolona przez amerykańskich instruktorów. Armie tej wspomaga jeszcze 50 tys. policjantów i drugie tyle jednostek paramilitarnych.

Źródła sukcesów oddziałów powstańczych tkwią w poparciu całej niemal ludności południowego Wiet-

DYKTATOR



Nie jest winą Diema, że natura obdarzyła go krótkimi nogami. Stara się on ukryć ten mankament, jak to widzimy np. na jego portrecie zdobiącym wejście do sajsjońskiego... ogrodu zoologicznego. Natomiast nie jest to stanie ukryć jego krótkonogich kłamstw. Najlepszym tego dowodem są ostatnie wydarzenia w Wietnamie Południowym. Foto — AR

chu narodowo-wyzwoleńczego w Wietnamie południowym? Niedaleka przyszłość udzieli odpowiedzi.

Na razie odnotujmy, że wizyta amerykańskiego generała w Sajgonie była z niepokojem śledzona przez państwa neutralistyczne leżące w tej części świata. Oto np. indyjski tygodnik „Link” pisze bez ogródek że „wraz z przybyciem do Sajgonu gen. Taylora w Azji południowo-wschodniej doszło do nowego wzrostu napięcia”. I dalej: „Podczas gdy stolice krajów tego rejonu zaczęły obiegać pogłoski, iż USA mogą wysłać oddziały wojskowe do Wietnamu południowego (...) kraje SEATO zaczęły bić w bębny wojenne”. Pismo przytacza szereg faktów, które zbiegły się z wizytą gen. Taylora — od obelżywych napaści marionetkowego dyktatora Syjamu na neutralistyczną Kambodżę po buńczuczne oświadczenie dowódcy VII floty USA, który stwierdził, iż „flota gotowa jest do podjęcia każdej akcji”...

O jakąż zaś akcję Stanom Zjednoczonym chodzi? Wyjaśnia inne pismo — tym razem angielski miesięcznik „Eastern World”, który pisze: „Potwierdza się wrażenie, że USA (...) przygotowują w Indochinach scenę dla nowej Korei”...

Ze możliwością takiej akcji istnieje do wódz doniesienia tak z Sajgonu jak i Waszyngtonu. W Sajgonie ostatnia amerykańska manifestacja poparcia dla zmuszanego reżimu rozchylała dyktatora. Uwidocznili się to w szeregu prowokacjach, m. in. wobec delegacji

W OPALACH

HENRYK ŚLEZIOŃSKI

bunt wojskowy, który miał miejsce równo rok temu.

Dziemuwi pozostał więc drugi filar swej władzy — Ameryka. Trzeba powiedzieć że Stany Zjednoczone, które uważają państwo Diema — o ironio! — za ostoję zachodniej wolności i demokracji w Azji południowo-wschodniej popieściły zagrożonego satrapę na ratunek. Prezydent Kennedy wysłał do Sajgonu jednego ze swych doradców gen. Maxwella Taylora, który miał zbadać na miejscu, czy dla uchronienia Diema przed kompletną klęską nie potrzeba przybycia do Wietnamu południowego wojsk amerykańskich. Obecnie Waszyngton studiuje raport gen. Taylora. Kennedy na swej czwartkowej konferencji prasowej oświadczył że w najbliższych dniach USA powezną odpowiednie decyzje. Czy Pentagon zdecydował się na krok który mógłby przekształcić Indochiny w groźne ognisko wojny? Czy Stany Zjednoczone depczą jawnie układy genewskie podejmując oficjalnie część funkcji związanych z dławieniem ru-

połskiej, działającej wspólnie z przedstawicielami Indii i Kanady w Między narodowej Komisji Nadzoru i Kontroli. Władze diemowskie organizują przeciw polskim przedstawicielom w komisji chuligańskie wystąpienia, odcinają dopływ wody, zmuszają do strajku wietnamski personel pomocniczy itp. Widocznie Diem zachęcał stanowiskiem USA podejmując nową próbę sparaliżowania i usunięcia MKNK z Wietnamu południowego, której działalność choć daleka od skuteczności jaką przewidują postanowienia układów genewskich najwyraźniej i w tej postaci kępuje sajsjońską marionetkę.

Tymczasem w Waszyngtonie i innych stolic zachodnich prowadzi się z hałasem oszczerczą kampanię o rzekomej infiltracji do Wietnamu południowego oddziałów z Demokratycznej Republiki Wietnamu. Historia dowodzi, że krzyk o „komunistycznej infiltracji” ośrodku imperialistycznej infiltracji” zawsze wtedy gdy usprawiedliwić chcą swoją interwencję — w tym wypadku wystąpienie paktu SEATO po stronie Diema.

dzeń i aparatury wytwarzanej w przedsiębiorstwach należących do resortu chemii.

Zorganizowanie takich ośrodków stworzy odpowiednie warunki dla przyspieszenia postępu technicznego w zakresie aparatury i urządzeń chemicznych. Jeszcze jedna zatem wielka i dotkliwie odczuwana luka zostanie wypełniona.

Zarówno przegląd sytuacji w dziedzinie produkcji aparatury chemicznej, jak i ów zarysowany program o daleko idących zamierzeniach — wręcz narzucają przekonanie, iż dopiero teraz powstał problem, co się zowie. Stojmy bowiem w gruncie rzeczy przed zadaniem zbudowania i zorganizowania przemysłu aparatury i urządzeń chemicznych właśnie od nowa. Uchwalać połączonego kolegium ministrów wychodził rzecz można — problemom w tej dziedzinie naprzeciw. Ale jest to dopiero uchwalać. Zasieg i skomplikowany charakter zadań do rozwiązania nakazuje włączyć do działania maksimum energii, inicjatywy i operatywności. Czasem chodzi o sprawy, które w zestawieniu z tak wielkimi problemami jak np. inwestycje, wydają się drobiazgami. Być może są to drobiazgi, ale jak wykazuje doświadczenie, lekceważenie ich przyniosłoby tylko szkodę sprawie ogólnej.

Jednym z istotnych zadań przemysłu aparaturowego jest osiągnięcie postępu w zakresie asortymentu i poziomu technicznego urządzeń. Wiąże się to z koniecznością zorganizowania i rozbudowania ośrodków badawczych, biur konstrukcyjnych i ogólnego wzmocnienia personelu inżynierii technicznej w przemyśle ciężkim, (który przejmie także od resortu chemii obowiązki wykonywania dokumentacji konstrukcyjnej). Wsuwa się tu więc m. in. kwestia rewizji obowiązujących proporcji zatrudnienia między liczbą inżynierów i techników, a robotników. Warto przypomnieć, że w dwóch największych zakładach, wytwarzających aparaturę (ZUP Nysa i Z-dv im. Szadkowskiego w Krakowie) personel inżynierii technicznej stanowi niewiele ponad 14% ogólnego zatrudnienia. Natomiast w czeskosłowackim zakładzie budowy aparatury chemicznej, wskaźnik ten wynosi 35% i uważany tam jest za normalny.

Warto by również poruszyć pewien punkt dla wykorzystania aktualnych rezerw w produkcji aparatury co w ciężkiej sytuacji przemysłu chemicznego nie jest

rzeczą bez znaczenia. Chodzi o tzw. ogólne limity zatrudnienia.

Wprawdzie MPC zwolniło część zakładów z obowiązku ich przestrzegania, ale nie dotyczy to niestety wszystkich zakładów wytwarzających aparaturę (np. w Tarnowskich Górach), a po wtóre — zwolnienie obejmuje tylko rok bieżący; co będzie w r. 1962 — nie wiadomo. Limity te uniemożliwiają wzrost zatrudnienia i zwiększenia produkcji tak niezbędnej aparatury. Z kolei konieczność utrzymania wskaźnika średniej wydajności pracy stanowi właściwie nieprzekraczalną barierę dla wzrostu zatrudnienia na dalszych zmianach, itd. itp. Są to pozornie drobne sprawy, ale one składają się na wielkie przeszkody. W praktyce planowanie zdaje się interesować tylko jednym pytaniem: co zaoszczędzimy dziś dzięki takiemu a takiemu ograniczeniu? Należałoby postawić i drugie pytanie, co wskutek takiej oszczędności stracimy za 2, 3, 5, 10 lat?

Dalej. Wiadomo, że produkcja aparatury, to produkcja w zasadzie jednostkowa precyzyjna, trudna, wymagająca wysoko kwalifikowanych kadr, rzemieślniczych, których, rzecz to znana, nie mamy w nadmiarze. Tak więc planowany werbunek pracowników zarówno dla istniejących zakładów, jak i przyszłych nowych stanowisk w zakładach, które mają być rozbudowane lub adaptowane do nowego programu produkcyjnego, stawia na porządku dziennym problem szkolenia kadr i robotniczych i inżynierskich. Nie należy z tym zlekąć do momentu uruchomienia nowej hali produkcyjnej, lecz już teraz przystąpić pełną parą do nauki, aby przy nowych stanowiskach stawali już od razu pełnowartościowi pracownicy. Warto też wziąć pod uwagę celowość praktyk zagranicznych kadr spawaczy i montażystów, np. w ZSRR i CSRS. Idzie w tej dziedzinie mogłoby się o wiele nauczyć. Wszystko to, rzecz jasna wymaga uprzedniego zorganizowania i uruchomienia odpowiednich funduszy.

To oczywiście nie wszystkie problemy, które wymagałoby zastanowienia. Jedno jest pewne, odczytanie w tym zakresie systematycznie w ciągu lat trąconego terenu i uzyskanie tak wysokiej dynamiki wzrostu, o jakiej wspomina omawiana uchwała, wymaga zaangażowania wszelkich dostępnych środków i operatywnych umiejętności.

WŁADYSŁAW DUDZIŃSKI

ZDAŻYŁAM już obejrzeć moją włoskę. Jest niewielka w pięć minut można ją obejść dookoła. Sklep GS, mała remiza strażacka, urząd pocztowy i kilkadziesiąt domów, gęsto skupionych przy placu i kretej uliczce. Tuż za zabudowaniami rzeka pełna kaczek. Domy przeważnie murowane choć niewielkie, przed domami ogródki. Przyjemna wioska. Natomiast moje mieszkanie — makabryczne. To właściwie stryszek, coś w rodzaju facjatyki z małym okienkiem. Stoi tutaj tylko żelazny piecyk. Piszę więc dosłownie na kolanie siedząc na walizce

Tamistnik
wiejskiej
nauczycielki

Spisała: **EWA WANACKA**

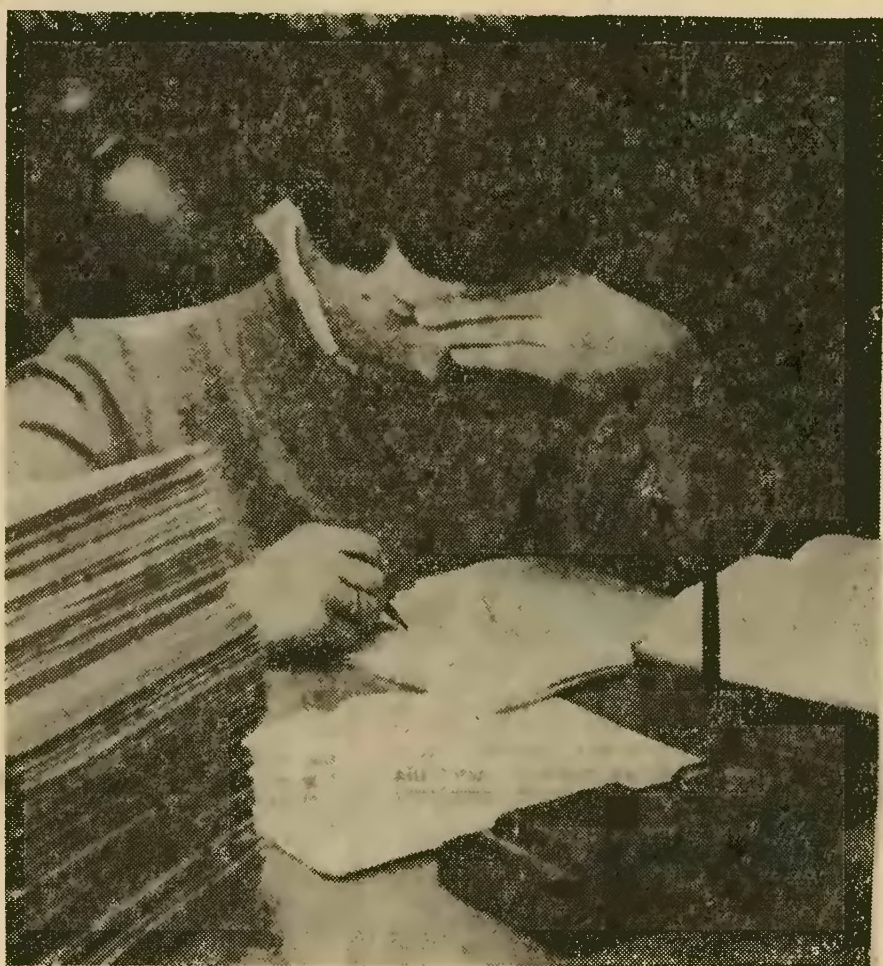


Foto: W. Wawrzynkiewicz

30 SIERPNIA 1954

Jutro zaczyna się nowy rok szkolny. Bez przerwy siedzę nad moimi podręcznikami i zeszytami, powtarzam, obmyślam w taki sposób najlepiej zaradzić znajomości z dziećmi. Dostałam trzecią klasę, będę ją prowadzić aż do siódmego.

Kierownik i jego żona to ogromnie mili ludzie. Jeszcze w dniu mojego przyjazdu postarali się dla mnie o łóżko, stół i krzesło. Jestem już prawie zagospodarowana. Gdy zobaczyli, że mam trochę książek wytrzasnęli skądś etużerkę. Zdaje się, że już zaprzyjaźniliśmy się.

Poznałam już trochę ludzi. W sklepie, na drodze staram się wykorzystać okazję do zawarcia znajomości. Wszyscy interesują się mną, już wiedzą, że jestem nową nauczycielką. Dzieci podziewają mnie na ulicy i ciekawie mi się przypatrują. Nie boję się dzieci, czuję, że ze wszystkim dam sobie radę, że wszystkim.

PAŹDZIERNIK

Moja facjatka jest przewiewna jak rzeszota. Wiatr przez nią wszystkie wiatry północy. Piec dymi, na jednej fajerce gotuję posiłek.

Pierwsza rzecz jaką muszę uczynić to systematycznie uczyć moje dzieci poprawnej polszczyzny. Dzieci mają język zaśmiecony germanizmami, że się wyrażać, choć są na ogół grzeczne i nie sprawiają poważniejszych kłopotów.

Druga rzecz — nauczyć je kultury osobistej. Jutro wezmę do klasy talerz nóż i widelec. Zrobimy pokaz poprawnego jedzenia.

Przeglądam zeszyty, czytam, przygotowuję się do lekcji — tak schodzi mi kuzdy wieczór. Andrzejowie wyrzucają mi czasami z mojej zimnej facjatyki i zapraszają na kawę. Pedzę tam z radością!

STYCZEŃ 1955

Znam już nie tylko 80 szkolnych dzieci ale wszystkich rodziców, wujków, dziadków. Niekiedy rodzice stałe do mnie przychodzą radzić się w różnych kłopotach wychowawczych. Do innych idę sama. Przy okazji zbieram na budowę szkół obeszłam całą wioskę dom po domu. Ludzie na ogół niechętnie mieszkają. Prawie wszyscy ojcowie pracują gdzieś w przemysle, dojeżdżają rowerami do stacji a stamtąd pociągami dalej. Matki i reszta rodziny pracują w gospodach. Mają więc pogłówny dochód i własną żywność.

Dość ciężko sięgają do kieszonki. Mówią, że w naszej wiosce nie buduje się nowej szkoły więc po co wydawać pieniądze. Przekonywałam, że dla 80 dzieci nie można budować nowej szkoły, kiedy dotychczasowa jest jeszcze niezła. Ale za parę lat, gdy nowe dzieci po-

cieczkach nie mogą sobie z nim dać rady, a właśnie mamy jechać do Krakowa. Nasza szkoła zdobyła sobie zakład opiekuńczy który okazał się prawdziwym opiekunem. Już nie będziemy jeździć pociągami. Podróż do Krakowa i Wieliczki odбудujemy wspólnym zakładowym SAN-em.

Spróbowałam starego sposobu Makarenki. Mianowałam Piotrusia przewodnikiem grupy chłopców. Coś zupełnie nieprawdopodobnego! Piotruś okazał się wymarzoną opiekunem na wycieczce. Grupa chłopców chodziła po Krakowie jak wojsko, nie było wybiegania na jezdnie, kupowania lodów po drodze i oglądania wystaw, gdy nie było czasu.

Największe wrażenie — kopalnia soli w Wieliczce. Dzieci stały jak urzeczone! Nawet Wawel zrobił na dzieciach mniejsze wrażenie.

PAŹDZIERNIK 1957

Koleżanki z sąsiednich szkół mówią, że z lekką oszalałam z tymi wycieczkami. A ja szaleję dalej. Właśnie jedziemy do Warszawy. Widzę, jak moje dzieci po prostu rozkwitają mi po tych wycieczkach. Działają na geografii na wyszyci opowiadają o pogodzie w górach, klimacie, roślinności i wysokości górnym krajoznawie, choć to już od roku minęło od naszego wypadu do Zakopanego. Materiał z wycieczek utrwalam i wykorzystuję przy różnych okazjach i w różnych przedmiotach. Chodzi mi o to, by mogły książkową wiedzę skojarzyć z tym, co same widziały, czego doświadczyły. A materiału już mamy dość dużo. Pokazałam dzieciom całą niekę węglową, dzięki uprzejmości naszego zakładu opiekuńczego, który oddał nam na cały dzień autobus. Widziały więc nuty, kopalnię, ożywiony ruch uliczny w miastach. Kiedy indziej zwiedziliśmy ZOO Ryńskiego we Wrocławiu, w Wiśle, Gdańsku i Krakowie. Kiedy moja gromadka dojdzie do ostatniej klasy będzie znała całą Polskę.

NIEDZIELA

Na naradzie w powiecie — coraz więcej tych narad czasem po kilka w tygodniu — powiedziano mi, że skrzywiłam ideę wycieczek. Miałoby chodzić o to, że w naszych wycieczkach biorą liczny udział również rodzice dzieci.

Odpowiedziałam dość ostro. Nie chodzi mi o pomoc i towarzysztwo na wycieczkach. Natomiast, chodzi mi o to, by dorośli również mogli obejrzeć kraj. Siedzą calymi latami na jednym miejscu, o reszcie kraju nie mają pojęcia lub fałszywe wyobrażenie. Nie rozumiem jak można z tego robić komuś zarzut.

LISTOPAD

Żegnaj zimna facjatko! Opuszczam cię bez żalu. W szkole opróżnia się małe mieszkanie — pokój i kuchienka, gdzie dawniej było przedszkole. Gdybym nie była poważną „panią” pewnie bym skakała z radości. Zaraz piszę do

DOKOŃCZENIE NA STR. 11

LUBY PANIE MICHAŁE!

Wybac, iż spóźniłam się z responsem, ale przyszło nam z panem Kmicicem do Warszawy ekskursją kilkunastomiodną odbyć, z której to wyprawy relati-

onem zarab waszmości w krótkich słowach złożę. Ani sobie nie imaginuję, panie Michał, jak grzeczne i zasobne we wszelkie nowomodne urządzenia miasteczko powstało w tym miejscu, gdzie z naka-
zu piekielnika Adolfa miała rosnąć jeno kartofla dla niemieckich wieprzków. Całe tedy nie żaluj tych kilku krajcarów, które co miesiąca potracąją z lafy na odbudowę stolicy, bo nie stracony to pieniądze.

Ruch na ulicach okrutny, sze czeka mdli w dołku. Wszędy na rozstajnych drogach białe linie asfaltu wymalowane, a światła kolorowych nawieszano niby w betlejemskich jasieczkach, aby niesforne automobyleś poskromić i do porządku wdrożyć. Widno jednak i lamp za mało dla warszawskich woźniców, bo krom tego na każdym skrzyżowaniu pięciu wiałow mielskich w białych pasach i takichże manszetach nad bezpieczeństwem pojazdów i pieszego luda czuwa.

Ciż wszelako kienosko mi się wydali egzercytowani, bo miast stać spokojnie pośrodku i jeno pała z gutaperki kierunków i pieszego luda czuwa. Ciż wszelako kienosko mi się wydali egzercytowani, bo miast stać spokojnie pośrodku i jeno pała z gutaperki kierunków i pieszego luda czuwa.

Ciż wszelako kienosko mi się wydali egzercytowani, bo miast stać spokojnie pośrodku i jeno pała z gutaperki kierunków i pieszego luda czuwa. Ciż wszelako kienosko mi się wydali egzercytowani, bo miast stać spokojnie pośrodku i jeno pała z gutaperki kierunków i pieszego luda czuwa.

Ciż wszelako kienosko mi się wydali egzercytowani, bo miast stać spokojnie pośrodku i jeno pała z gutaperki kierunków i pieszego luda czuwa. Ciż wszelako kienosko mi się wydali egzercytowani, bo miast stać spokojnie pośrodku i jeno pała z gutaperki kierunków i pieszego luda czuwa.

Ciż wszelako kienosko mi się wydali egzercytowani, bo miast stać spokojnie pośrodku i jeno pała z gutaperki kierunków i pieszego luda czuwa. Ciż wszelako kienosko mi się wydali egzercytowani, bo miast stać spokojnie pośrodku i jeno pała z gutaperki kierunków i pieszego luda czuwa.

Ciż wszelako kienosko mi się wydali egzercytowani, bo miast stać spokojnie pośrodku i jeno pała z gutaperki kierunków i pieszego luda czuwa. Ciż wszelako kienosko mi się wydali egzercytowani, bo miast stać spokojnie pośrodku i jeno pała z gutaperki kierunków i pieszego luda czuwa.

Ciż wszelako kienosko mi się wydali egzercytowani, bo miast stać spokojnie pośrodku i jeno pała z gutaperki kierunków i pieszego luda czuwa. Ciż wszelako kienosko mi się wydali egzercytowani, bo miast stać spokojnie pośrodku i jeno pała z gutaperki kierunków i pieszego luda czuwa.

Ciż wszelako kienosko mi się wydali egzercytowani, bo miast stać spokojnie pośrodku i jeno pała z gutaperki kierunków i pieszego luda czuwa. Ciż wszelako kienosko mi się wydali egzercytowani, bo miast stać spokojnie pośrodku i jeno pała z gutaperki kierunków i pieszego luda czuwa.

Ciż wszelako kienosko mi się wydali egzercytowani, bo miast stać spokojnie pośrodku i jeno pała z gutaperki kierunków i pieszego luda czuwa. Ciż wszelako kienosko mi się wydali egzercytowani, bo miast stać spokojnie pośrodku i jeno pała z gutaperki kierunków i pieszego luda czuwa.

Ciż wszelako kienosko mi się wydali egzercytowani, bo miast stać spokojnie pośrodku i jeno pała z gutaperki kierunków i pieszego luda czuwa. Ciż wszelako kienosko mi się wydali egzercytowani, bo miast stać spokojnie pośrodku i jeno pała z gutaperki kierunków i pieszego luda czuwa.

Ciż wszelako kienosko mi się wydali egzercytowani, bo miast stać spokojnie pośrodku i jeno pała z gutaperki kierunków i pieszego luda czuwa. Ciż wszelako kienosko mi się wydali egzercytowani, bo miast stać spokojnie pośrodku i jeno pała z gutaperki kierunków i pieszego luda czuwa.

MAROKAŃSKIE

Spotkanie



Marokańskie „spieczę” dwóch epok: nowoczesny samochód i stary chłop, przywykły do prymitywnych warunków życia. Foto — AB

WŁADYSŁAW SZCZERBIC

JAKŻEŻ chciałoby się przekazać Czytelnikowi najdokładniejszy film z tego, co wędrowiec - dziennikarz widzi i słyszy na swojej dalekiej drodze. To jednak niemożliwe. Trzeba więc uogólniać, syntetyzować. A jednak czasem migawkowe zdjęcie więcej mówi niż długie uczone wywody. Niech mi więc dziś wolno będzie zdać zwykłą relację z kilku krótkich spotkań.

SPOTKANIE KTÓREGO NIE BYŁO

W czasie mej pierwszej podróży do Maroka, z górą dwa lata temu,

Do Imé Pana
Michała Wolf-dyrowskiego,
Pułkownika Wojsk Koronnych

przy Place de Lyautey w Casablance stał okazały pomnik francuskiego marszałka Lyautey, długoletniego „generalnego rezydenta Francji” w Maroku. Ale tym razem nie zastałem już owego pomnika. Dawny Place de Lyautey nazywa się obecnie placem ONZ, a pomnik Lyautey został przeniesiony na dziedziniec konsulat Francji w Casablance. Prochy marszałka przewieziono do Francji. Tak jest dużo lepiej: wszystko na swoim miejscu. Jakaś częśćka wielkiego, skomplikowanego procesu dekolonizacji. Byłem więc raczej zadowolony, że nie doszło do mego spotkania z marszałkiem Lyautey. Na miejscu jego pomnika widzę piękne kwiaty. A obok przechodzą śliczne smukłe marokańskie dziewczyny — już to w europejskich strojach, już to w kolorowych powłóczystych dżellabach, w sandałach lub na „szpilkach” — dziewczyny o wielkich, czarnych, głębokich, błyszczących oczach. Wolę takie spotkanie...

GWÓDZ J'HA

Do Sidi Slimane przybyłem naza-jutrz po wielkim pożarze, jaki wybuchł w tamtejszej bazie wojskowej USA. I bez tego symbolicznego memento zresztą skłamałyby ten, kto by twierdził, że ludność Maroka jest szczęśliwa z posiadania tych baz na swojej ziemi. Dowodem tego niech będzie m. in. historia, jaką usłyszałem od jednego z mieszkańców Sidi Slimane.

Pewien człowiek, nazwiskiem J'ha (czyt. Ze-ha — bohater wielu anegdot, usobienie sprytu i przebiegłości), postanowił sprzedać jeden ze swych domów. A że dom był ładny, kupiec znalazł się łatwo. Targ w targ — ustalono cenę. Dom został sprzedany, z następującymi jednak zastrzeżeniami: J'ha zastrzegł sobie prawo własności do... jednego wbiętego w ścianę gwóźdź w głównej izbie. Był to — jak twierdził J'ha — bardzo ważny gwóźdź, cenna pamiątka rodzinną, której ani sprzedać, ani ruszyć nie wolno...

No i tak się stało. Dom został sprzedany, gwóźdź w ścianie pozostał własnością J'ha. A oto co z tego wynika:

Kiedy nowy właściciel domu wyprawił sutą ucztę dla krewnych i przyjaciół — a było to wielkie „święto barana” — nagle zjawił się J'ha.

— Czego sobie życzysz? — pyta gospodarz.

— O, nie wielkiego — powiada spokojnie intruz. — Chcę tylko skorzystać z mego prawa własności do tego oto gwóźdź i powiesić na nim zwłoki osła, który mi zdechł przed kilku dniami...

Cóż było robić? Gospodarz musiał głęboko sięgnąć do kieszy, aby skłonić J'ha do zmiany tej niewczesnej decyzji. Nie skończyło się jednak na tym.

Zawsze, kiedy chytry J'ha potrzebował pieniędzy, przypominał sobie o swoim gwóźdźu i przychodził po okup.

Powiatka ta — powiada mój rozmówca — bardzo przypomina sytuację w naszym kraju. Przypomina nam niepodległość w 1956 r. władze francuskie zostawiły jednak w Maroku wiele „gwóździ J'ha”, m.in. w postaci nie tylko wojskowych baz Francji, ale i USA — w Ben Gue-

rir, Kenitra, Nuaceur i tutaj, w Sidi Slimane. Na szczęście pozbywamy się ich, wojska francuskie wynoszą się już w tym roku, Amerykanie mają ewakuować swoje bazy do 1963 r. I dopiero wtedy odetchniemy z ulgą.

„DOLCE VITA” I CIEŃ GROZY

Maroko jest państwem młodym; ma dopiero niecałe sześć lat.

A jednak są Afrykanie, którzy mają o Marokańczykach: „Nasi starzy bracia”. Tak mówią ci Afrykanie, których kraje jeszcze się znajdują w kolonialnej niewoli. Tak mówi np. Mario de Andrade, przewodniczący Ludowego Ruchu Wyzwolenia Angoli. Spotkałem go w Rabacie, gdzie znajduje się Sekretariat Nacjonalistycznych Organizacji Kolonii Portugalskich. I usłyszałem taką oto historię jego życia.

Mój ojciec, drobny urzędnik w portugalskiej administracji kolonialnej — opowiada Mario de Andrade — należał do owej, małej grupki tzw. „assimilados”, na których Portugalczycy chcieli oprzeć kolonialne panowanie. Wyszedł jednak inaczej. Właśnie dzięki stanowisku ojca, mój brat i ja, za cenę zresztą wielkich wyrzeczeń, mogliśmy studiować. Mój brat został księdzem, uzyskał doktorat teologii w Rzymie. Ale pozostał przede wszystkim angolańskim patriotą. Zaczął działać w naszym ruchu. Właśnie za to władze portugalskie wtrąciły go w czerwcu 1960 r. do więzienia, najpierw na Wyspie św. Tomasa, a teraz w Lizbonie. Brat jest ciężko chory na gruźlicę, ale to jego katów nie wzrusza...

— A Rzym? — pytam. — Co na to Rzym?

— Rzym, jak zwykle w takich wypadkach, milczy. Sądzisz, że zechce wystąpić przeciw Salazarowi?

— Ja sam — ciągnie dalej Mario de Andrade — studiowałem filologię klasyczną i socjologię; najpierw w Luanda, potem w Lizbonie, następnie w Paryżu. W Paryżu byłem razem z redaktorem naczelnym naukowego przeglądu afrykańskiego „Presence Africaine”. Musiałem jednak przerwać pracę naukową i publicystyczną. W maju 1960 r. kiedy Portugalczycy aresztowali naszego czolowego przywódcę, prof. Agostinho Neto, wróciłem do Afryki i zostałem wybrany przewodniczącym Ludowego Ruchu Wyzwolenia Angoli. Nauka wypoczyła mi nie polityce. Ale wrócić do nauki, skoro to tylko będzie możliwe.

— Miejmy nadzieję, że będzie to wnet możliwe.

Jestem dobrej myśli — mówi Mario. — Oto nadchodzi w Angoli pora wielkiego deszczu, który jest naszym sojusznikiem w walce przeciw wojskom portugalskim. Czynniki ostatnie przygotowania do wielkiej ofensywy przeciw zóldakom Salazara. ...Jakżeż oni u nas szaleją! Ostatnio spalili napalmem jakąś wioskę, w której akurat odbywały się trzy wesela. Niemal nikt nie uszedł z życiem. Możesz sobie wyobrazić, co tam się działo...

Mario ucinął. Z gorzkim uśmiechem pokazuje mi szylid owej miłej, tonącej w kwiatkach i zieleni kafejki, w której śledzimy przy filiżance kawy. Napis na szyldzie brzmi: „DOLCE VITA” — Rozkoszne życie... — A tam?

PANORAMA LOSÓW I LUDZI

MARIA PODOLSKA

sunał się tak daleko, że od-
biegł nawet od pierwotnego
charakteru niektórych postaci
(w tym szczególnie bliskiego
Tolstojowi w swej jagnięcej
pokorze chłopca Karatajewa)
sam napisał dialogi, a przede
wszystkim wybrał te wątki i
problemy z gąszczu Tolsto-
jowskiej epopei, które uważał
za najbardziej istotne. Tak
wiele podał rzecz całą w ol-
brzymim psychologicznym
skrócie ale zyskała na tym po-
lityczna wymowa sztuki, któ-
ra w tym kształcie stanowi po-
pełen pasję protest przeciwko woj-
nie — katastrofie całej ludzko-
ści.

Prapremiera światowa „Woj-
ny i pokoju” w opracowaniu
Piscatora odbyła się w 1955
roku w Schiller-theater w
Berlinie i wywarła kolosalne
wrażenie choć nie wszyscy
krytycy byli zgodni w poch-
wałach. W 1957 roku reżyser
Irena Babel w warszawskim
Teatrze Powszechnym podjęła
odważnie trud przedstawienia
sztuki Tolstoja — Piscatora.
Spektakl, który oglądaliśmy
również w telewizji, stał się
wydarzeniem kulturalnym sto-
licy.

BYŁ to dobry pomysł, że
Teatr Zagłębia zaprosił
Irenę Babel, by gościnnie
reżyserowała „Wojnę i po-
kój” na saskowickiej scenie.
Ję reżyserki talent i do-
świadczenie wraz z doświad-
czeniem współreżysera Tadeu-
sza Przysławskiego stworzyły
spektakl czysty, bardzo wy-
równany i — za co należą
specjalne brawa autorce sce-
nografii Zofii Wierchowicz —
urzekający plastycznym obra-
zem i wymownym akcentem
picassowskiej „Guerniki”.

Nie wszyscy aktorzy spro-
stali tolstojowskiej wizji, ale
też ogromne skróty psycholo-
giczne i ustawicznie przerywa-
ne wątki stwarzały wielkie
trudności dla aktora. Najtraf-
niej i najpełniej przekazał
subtelność postaci Piotra Be-
zuchowa, grubasa o duszy
idealisty i potencjalnego boha-
tera. Leszek Szymocha był pro-
sty, bardzo ludzki i dyskretny
w rozgrywaniu konfliktów uc-
czuć i sumienia. Jest to
niezaprzeczalnie jedna z tych
ról, o których trzeba po-
wiedzieć — kreacja. Jerzy Si-
wy jako Narrator początkowo
nieśmiały i stremowany, w to-
ku przedstawienia uchwycił
mocno i swobodnie wszystkie
nici wydarzeń, był prawdzi-
wym i czynnym gospodarzem
tego danego spektaklu.

Są w sztuce dwie postacie
kobiece, na których skupia się
szczególna uwaga Tolstoja —
Piscatora: młodociana Nata-
sza Rostowa, uosobienie wio-
śniowego wdzięku oraz jej kon-
trast — zmaltretowana ty-
rania i egoizm ojca, zaskle-
piona w uczuciach rodzinnych i
religijnych — Maria. O ile Bo-
gusława Kotusznik jako Na-
tasza miała spór z owego po-
wieściowego wdzięku i dziew-
czej słodyczy o tyle Iwona
Jankowska niebity wnikliwie
odczytała charakter postaci
Marii. Jej uroda i elegancja
były zaprzeczeniem cech smut-
nej, zgaszonej przez bezbar-
wne życie istoty. Elegancja i



wymuskana uroda były nato-
miast na miejscu jeśli chodzi
o płochą Lizę księżną Bol-
końską, którą zagrała Alicja
Madeyska. Hrabowską dostoi-
ność i matczyną czujność ma-
nistetowała z godnością na
scenie Neonilla Kilar jako
hrabina Rostowa.

NAPOLEON w dosadnej
interpretacji Tadeusza
Przysławskiego był o-
wym — jak mówi Tolstoj „nie-
zwykle niedźmiem narzędziem
historii”. Kutuzowa, który wy-
glądał tak stylowo jak by wy-
szedł z ram starego portretu
zagrał Jan Nawrocki. Wslea-
wowi Drzewiczowi było nieco
ciężko w cesarskiej skórze
Aleksandra I, roli zresztą nie-
zbędnej dla aktora.

Prawdziwy bohater Tolsto-

Scena z „Wojny i pokoju”
Tolstoja — Piscatora. Na
zdjęciu: Bogusława Kotusz-
nik jako Natasa i Leszek
Szymocha w roli Piotra
Bezuchowa
Foto: B. Krasicki

ja — Piscatora młody książę
Andrzej Bolkoński w ujęciu
Włodzimierza Figury był zgrab-
nym, przystojnym chłopcem
wcale ciekawie rozgrywają-
cym zwiastując w scenach koń-
cowych swoje porachunki z
życiem i historią, ale mało
przekonującym w scenach re-
fleksyjnych. Jan Ulrich ak-
tor nawiązujący zwykle tak
cieple kontakty z widownią
tym razem nie pozwolił nam
uwierzyć w egoizm, tyranie i
szatańską pychę starego księ-
cia Bolkońskiego. Sympatycz-
nym młodym hrabią Rosto-
wem był Andrzej Hołaj, peł-
nym chłopięcej godności i
wewnętrznej zary (choć nie-
stety w sztuce zbyt lapidarnie
potraktowanym) Karatajowem
był Stanisław Piotrowski.

Trzeba przyznać, że posta-
cie narysowane w sztuce na-
wet szkieletowo zostały zagrane
bardzo rzetelnie i z poczuciem
stylu. Dobrym w geście i
sposobie podawania tekstu słu-
gą pańskim był Antoni Gra-
zładio w roli administratora
Albatyca, bardzo trafnie uch-
wylił zawiadłości charakter
arystokratycznych oficerów
Kuragina i Dolochowa Bogu-
sław Well i Wacław Welski,
skromnego a tak niezbędnego
doktorzyne zagrał Wincenty
Grabarczyk.

Publiczność lubi monumen-
talne spektakle. Po „Cydzie”,
„Weselu” i „Lili Wenedzie”
Teatr Zagłębia wystawienie
„Wojny i pokoju” może zali-
czyć do swych prawdziwych
sukcesów.



ŚLĄSCY PLASTYCY W XV-LECIE

Wielki pokas polskiej
plastyki XV-lecia trwa.
Po przeglądzie salony i
rewii plakatów niebawem
w salach warszawskich
„Zachęty” i Muzeum Na-
rodowego zostaną otwa-
re wystawy grafik, ma-
larskich i rzeźb, które
pokazują 15-letni dorobek
plastyków i przedstawiają
kierunki poszukiwań
twórczych naszych arty-
stów. Poważny udział

w tych ekspozycjach
biorą również plastycy
określenia ZPAP. Mimo olbrzymiej
ogólnopolskiej konkuren-
cji i surowych elimina-
cyj komisji kwalifikacyj-
nych przyjęto na wy-
stawę XV-lecia 66 pra-
ców malarskich 56 autorów,
40 prac graficznych 23
autorów oraz 9 rzeźb 7
autorów z okręgu ka-
towskiego ZPAP.

PAMIĘTNIK MELPOMENY

Teatr Śląski im. Wy-
spańskiego przygotował
dla swych widzów w
foyer wystawę obejmu-
jącą w cyklu zdjęć
15-lecie Teatru Śląskie-
go w Polsce Ludowej
oczywiście w dużym,
lapidarnym skrócie. Ten
interesujący wizualny
pamiętnik pierwszej sce-
ny śląskiej ilustrują fo-
tostory historycznych
spektakli i aktorskich
kreacji zaopatrzone zwie-
niom komentarzem Ści-
narsuz wystawy npra-
cował znany krytyk

krakowski J. P. Gawlik,
konsultantem z zakresu
historii teatru był dr
Got-Spiegel, szatę gra-
ficzną z dużym smakiem
zaprojektował i wyko-
nał zespół plastyków,
pracowników Muzeum
Narodowego w Krako-
wie. Nie negując kra-
kowski autorom ich
wysokiej erudycji i zna-
stwa problematki, dziwi-
my się nieco, że pomi-
nięto przy organizowa-
niu tej historycznej wy-
stawy katowickich teat-
rologów i plastyków.

Niech mi będzie wolno przy-
pominąć pewną datę i to
datę składną, którą do-
brze pamiętam. Chodzi
mi o 7 listopada. Tył-
ko nie o rewolucję chcia-
łbym tu pisać...

Rzecz w tym, że pięć dni temu upły-
nęło równo 25 lat, czyli czterdzieć
lat od chwili kiedy rozpoczęła się wojna
Polski z hitlerizmem.

Taki Bo jej właściwy początek nie
przypada, jak to się powszechnie sądzi,
na 1 września 1939 r. Rozpoczęła się
ona 7 listopada 1939 roku w Hiszpanii.
To też w dniu, kiedy przetrwała his-
torekso-fazytowski-frankistowski
koalicji ruszyli do walki w obronie

wiektowej rocznicy Rewolucji Paździ-
erowej. Pierwsze zdanie przyjętej
wówczas rezolucji brzmiało:

„Zwycięska rewolucja pro-
letariatu rosyjskiego jest
dla naszego batalionu ży-
wym przykładem, jak nale-
ży walczyć i zwyciężać”.

Spodnie pięć tysięcy ochotników
— polegoło w Hiszpanii prawie 3 500.
Większość z nich to komuniści. Osz-
talo się — dowodzą tego następne lata
— że, o dziwo! nie zabrakło tym żołnie-
rzu w naszych dziejach hasła,
które mamu wszelkie prawo zapisać
na konto aktywów naszego bilansu hi-
sterycznego?

Przecież i tak tradycja okazała
się przetrwała dla naszych losów,
to była nią właśnie ta, której służył

utalentowany poeta satyryczny, wy-
glądał — dobrze zresztą napisany —
wierszyk, w którym wykpiwał ów zwy-
czaj naszych przodków umierać za
wolność własną i cudzą... Cóż! Oczy-
wiście przyjemniej jest żyć w wolności
niż dla niej umierać, tak samo jak
przyjemniej jest walczyć podobnie
umierać wtedy kiedy ta wolność zo-
stała już na zawsze wywołana... Czy
daleko jednak wymagać należy za-
na zawsze z naszych dziejów hasła,
które mamu wszelkie prawo zapisać
na konto aktywów naszego bilansu hi-
sterycznego?

Przecież i tak tradycja okazała
się przetrwała dla naszych losów,
to była nią właśnie ta, której służył

ważniejszości? Jakże łatwo zdyskre-
dycować je przy pomocy pateru, choćby
był ten pater najbardziej uzasadniony.
To co przedwczoraj było jeszcze możli-
we, to co wczoraj było już trudne,
dziś, kiedy każdy dzień przynosi echo
przekających niby kłótni balon mło-
dów — jest zdecydowanie niemożliwe.
Chodzi więc o to by młodzi ludzie
uwierzyli, że legenda, którą im pię-
nymi słowami i głosem nabrałym
wzruszeniem em przekazyujemy, legenda o
bohaterstwie polskich ochotników w
Hiszpanii, nie jest z tego samego fa-
szywnego krzewu, co wiele innych, któ-
rym towarzyszył taki sam pater.

Przecież nie mała część naszej li-
teratury i sztuki od szeregu (od kilku-
nastu nawet) lat poświęcona jest oczy-
wiście naszej historii i naszej tra-
dycji od spleśniałych mitów, od fałszy-
wych kompleksów, od obsesji miłoś-
dziejowej (to odurzanie historii
nie jest takie straszne jak to niektórzy
sądzą) Porządku te — konieczny pra-
dopodobnie zabieg sanitarny — przy-
czyniły się uprzedzić do usunięcia
niejednego śmiecia, ale, jak to przy
porządkach bywa — bałagan tu niesa-
mowicie i od czasu do czasu stajemy
przed młodym pokoleniem niby ucienio-
wie czarnoksięskim, przetrzańci uwol-
nionymi przez nas siłami, niedołężni by
je ujarzmić.

Ukazała się niedawno w okazji 25-
lecia Dąbrowszczyków, książka Seve-
rina Aiznera „Madryt — Saragossa”.
Wyszła także poświęcona Brygadom
Międzynarodowym książka Luigi Lon-
gr. Jak widzimy — literatura też, jest
nawet zorganizowana w Warszawie i
przeznaczona dla innych miast wysta-
wa, poświęcona tym wydarzeniom.
Książki i wystawy to dopiero elemen-
ty, z których dobry wychowawca skom-
ponuje odnowiczkową szkołę pa-
dagogiczną pozbawioną oschłości, sche-
matu, referatowej sztywności.

Dobry wychowawca? W pierwszym
razie nauczyciel, którego walkim za-
daniem jest przekazywanie młodzieży,
czytając w miarę możliwości — genea-
logii naszej teraźniejszości.

A w genealogii też, okres wojny
hiszpańskiej to rozdział specjalny.
Warto przeczytać opowieść Severyna
Aiznera o tym, jak to polscy żołnierze
walczyli z faszyzmem na kilka lat
przed Westerplatte, przed Warszawą,
przed Lenino i przed Monte Cassino
i jak swoją krew przelali w obronie
wolności cudzej torowali drogę do
wolności naszej.

KATONIK

TRADYCJA CZY POMYŁKA?

Republiki Hiszpańskiej pierwsze oddzia-
ły polskich ochotników, znane pod na-
zwą batalionu im. Jarosława Dąbrow-
skiego. W dniu tym pod Madrytem
otrzymała chrest bojowy XI Brygada
Międzynarodowa i jako jej część, liczą-
cy 600 ludzi wspomniany batalion. W
tym dniu, powtarzam, rozpoczęła się
walka wojna wypowiedziana przez
lud polski — faszyzmowi. Bo tak wła-
śnie a nie inaczej rozumieł swój udział
w wojnie hiszpańskiej polscy ochotni-
cy.

Przebudujmy? — Oczywiście. O ile
bardziej przewidujemy od tych wszyst-
kich, którzy w ówczesnej Polsce anar-
chizmowi, którzy duszą się w polityce.
Nie pierwszy to zresztą raz, ideologo-
wie rozmineli się z rządzący przez
siebie duszami: kampania pomocy Re-
publice Hiszpańskiej objęła całą pra-
wie Polskę, a na polach bitew Hiszpa-
nii znalazło się ukrótko ponad 5000
Polaków...

Spłatają się te dwie rocznice przy-
padające na jeden i ten sam dzień.
Spłatają się oczywiście nie przypad-
kowo. W przeddzień wypryszenia na
front medruki, batalion polski zebrał
się na rynku małego podmadryckiego
miasteczka Vicalvaro, na obchód dzie-

zespólnie rozgładki i bohaterstwa.
Prawie 100 lat wcześniej z podobnego
aleju odłone zostało hasło, jedno z naj-
wspanialszych, jakie zna historia cy-
wilizacji: „Za Waszą wolność i naszą”!



Rzucone ono zostało najpierw w języku
polskim — później przetłumaczone zo-
stało na wszystkie inne języki świata.
Niedawno słyszałem, jak pewien

ochotnicy Brygad Międzynarodowych.
Bo proszę tylko zauważyć, dwa razy
w historii szumiała Polacy Sarago-
sse. Pierwszy raz w roku 1808. Wów-
czas bohaterstwo Polaków było he-
zultyczne, jak głód kaskada, a służ-
ność po stronie, broniącego miasta
przed Napoleonem, generała Palafoza.
Drugi raz w 1937 Teraz po stronie Po-
laków było bohaterstwo i była racja
polityczna. Jeden z polskich oddziałów
nosił nazwę batalionu im. gen. Pala-
foza, a Saragossy broniły armaty, czoł-
gi, samoloty niemieckie i lotnisk hit-
lerowskie. Proponując zaś takiego wła-
śnie uczenia przez Polaków bohatera
hiszpańskiego padła ze strony przed-
stawicieli Komitetu Centralnego KPP
— Rualla. Historie obrony Hiszpanii
przed wojskami Napoleona znalazł on z
szeregu skromnych tomików, które wo-
zili ze sobą po całym froncie... A te
trzy tomiki to właśnie „Popioły” Ste-
fana Żeromskiego...

Jakże się wszystko logicznie spłata
i zgadza w równaniu ideowym...

W jednym z ostatnich felietonów za-
stanawiałem się jakim językiem prze-
mawiać do młodzieży, gdy przychodzi
wspomnieć tradycje i genealogie te-

zaspiewa w powietrzu. Najpierw jednak...
urodził się dziecko. Takie będzie hasło.

Muzykant — powstaniec zawierzył i cze-
kał, ale ostatnio już brakowało mu sił. Wy-
glądał kłopotliwie, pozostał z niego skóra i ko-
ści. A był kiedyś chłopcem na schwał. Ni-
szczyły go bestialstwa wroga i nierzym nie-
poskromione. I znów mnie czynił winnym
za ten stan rzeczy. Dziś też miał się zo-
baczycie mnie w drzwiach. Ale dziś to
miał być groźniejszy, niż kiedykolwiek.
Muzykantowi rodywały się chrapy, pod
krzakami brzmiały miotały się obiedne
oczy. Uczyni coś strasznego. Odpisał zegarek
na ręce, rzucił go na stół, rozpiął marynar-
kę... Jeszcze podawał przykłady na beza-
dziejność sytuacji. Przeraziłwie skrzeczal,
jak dobijany.

— Zegnal ludzi i na gwałt budują muro-
wanieć za miastem. W planie jest komin.
Co to będzie? Kto wie czy nie krematorium.
Jechali z taką dużą anteną i niuchali za
radem. Wysocki pies, kropnili. Co im
pies wniwn? Ech, szkoda gadac.

Mój siwy ojciec czujnie śledził ruchy Mu-
zykanta. Siedział na łóżku wyprostowany
i gotowy przeciwdziałać czemuś, co się mo-
gło stać Lampą oświeślała mu tylko prawy
policzek. Matka znalazła czysty ręcznik,
wytarta szklankę i nalała do niej wody. Po-
da ją lokatorowi na uspokojenie. Skorzy-
stałem z kaszlu Muzykanta i nareszcie po-
wiedzialem mu półszeptem o radośnej wie-
ści.

— Urodziło się dziecko...

Muzykant przestał kaszleć. Patrzył na
mnie badawczo. I była taka cisza, że o życiu
dawało znać tylko tykanie zegarka na stole.

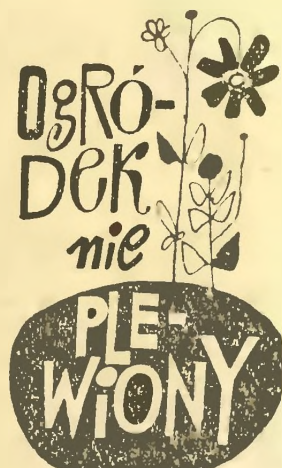
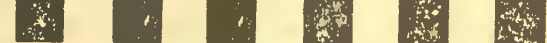
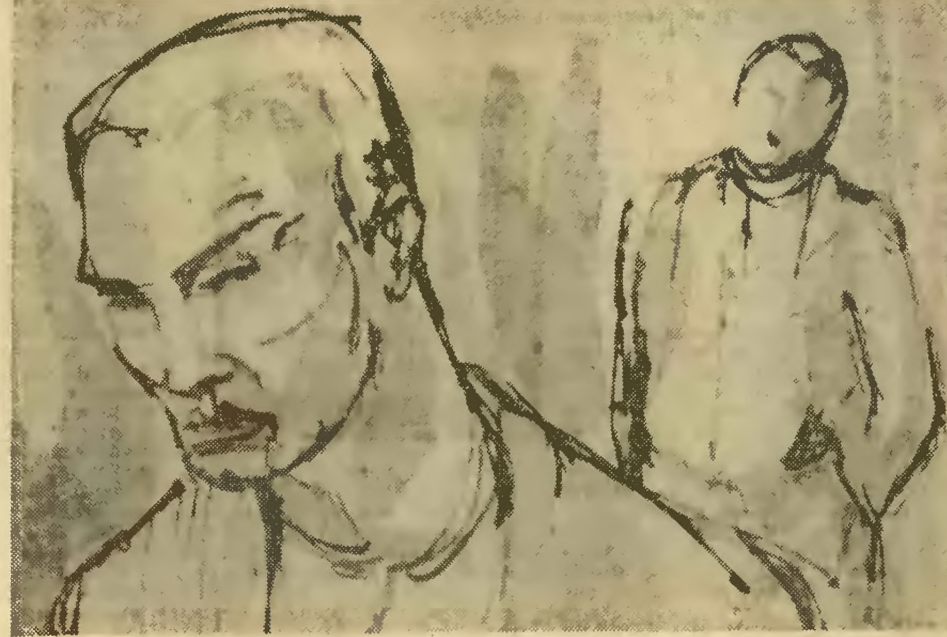
Tak — potwierdziłem — urodziło się
dziecko. Oj zagrasz jeszcze, zagrasz. Już ty
to potrafisz...

Muzykant — powstaniec nie mógł jeszcze
słowa wypowiedzieć, ale jego palce pocze-
ły przebiegać w powietrzu, jak by przydu-
szali struny.

to: „Swoje, własne dziecko”. Łapiduch po-
derwał się, zapalił papierosa. „Daj się pan
raz sztachnąć” — prosi go swój ojciec, pod-
kreślił wąsa, zbliżył się do tego nocle-
ganta, a on zwinął palec i w czoło się
wali i ojcu przysięga, że ma kukunamuniu,
rzucił papierosa i poszedł! Ale czy on nie
wrócił? Dziś, jutro, za miesiąc? I nie tylko
o takich łapiduchach chodzi. Nie wpędzą
człowieka w sieć, to i bez tego zapiął i wy-
wioza. Nikt im się tu nie oprze. W nocy
budzą pociąg, gwizda śmiertelna chmura.
Żeby choć jedną minę kto podłożył. Nikt.
Nic nie wiadomo, nie nie wiadomo co i jak.
Wszystko jest dezaprobata życia. Swoje zaś
aprobują na tysiąc lat. Sterczą im cygara
z pysków, roztylił się w pasie od jedzenia.
Na robotę wysyłają pacholców. Wczoraj
spalili dwie chałupy pod lasem, bo jakoby
słyszeli tam strzał. Mówią, że to pretekst. To
taki szmaciany sonderdinsciak podpalal się
do dziewczyny, nie baczyl, że inna rasa,
ale oparla się. Sam wygarnął ze spławy
i zameldował, że celowano do niego. Zle się
paliło, bo śniegu na strzechach jak na Gie-
wonicie. Przychodzi do stolarza taki żulik
w kapelusiku zielonym z piórkiem i mówi:
zabraniam wam wyrobu trumien. Złożyło
się tak, że w trumnach poszedł stąd do
Reichu cały transport nielegalnego mięsa.
Kto to zjadł? Dość tej swobody. No i co ty
na to? Nie lubisz jak ja ci tak dokładnie
wszystko relacjonuje, co? Gdzie twoje dzie-
cko? Mesjasz, wybacicie! Widziałeś w osa-
dzie Baudienst? Młode chłopaki, a już skó-
ra na twarzy zwióztaczała, worki pod oczami.
Jeszcze trochę i nie będzie trzeba ludzi za-
bijac, wygina jak muchy przed zimą. Tego
się miałem doczekać? Tego? Ładny z ciebie
ptaszek. Dałbym jakimś żandarmowi
w papę i byłby koniec. Już byś mnie nie
uradował od stryczka.

Był wczesny wieczór zimowy, właśnie
przyjeżdżałem z Krakowa. Ledwo mogłem
prze stać próg i zamknąć drzwi, ale dalej ani
rusz. Muzykant — powstaniec wzniósł

Ilustrowała: M. MŁODNICKA



BĘDZIESZ
OSZCZĘ-
DZAĆ,
CZY

BĘDZIESZ OSZCZĘDZAŁ?

Czytelnik Wiesław Polasz wysunął w
swym liście, który — z powodu mej
dłuższej nieobecności — dość długo cze-
kał na odpowiedź, wątpliwość, z którą
spotykamy się coraz częściej. Przytacza
mianowicie hasło PKO, umieszczane na
książeczkach oszczędnościowych: IM WIĘCEJ
BĘDZIESZ OSZCZĘDZAĆ, TYM LEPIEJ BĘ-
DZIESZ MIESZKAĆ i zapytuje, czy ta forma
czasu przeszłego, złożona ze słowa posiłkowego
(będziesz) i bezokolicznika (oszczędzać), jest po-
prawna. P. Polasz uważa, że „brzmi ona bardzo
nieprzyjemnie dla ucha”.

Otóż forma jest poprawna, a w tym wypadku
jej użycie jest nawet szczególnie uzasadnione
tym, że adresat tego hasła nie jest dokładnie
określony. Na dowód poprawności przytoczmy
odpowiedni paragraf z „Gramatyki języka pol-
skiego” Stanisława Szobera (wyd. III, opr. W. Do-
roszewski, Warszawa 1953, s. 270, § 464). „Czas
przyszły niedokonyany, jak wskazują takie
formy, jak będę czytał lub będę czytała albo czy-
tała będę, jest formą złożoną i składa się z
imiśłowu przeszłego czynnego lub bezokolicznika
i czasu przys-
złego słowa posiłkowego być. Imiśłowu kła-
dzie się zawsze po słowie posiłkowym będą, bez-
okolicznik bywa używany albo przed, albo po
słowie posiłkowym”.

W konkretnym wypadku autor hasła musiał
użyć formy z bezokolicznikiem, chyba że zaryzy-
kowałby — moim zdaniem nie dość żęzną —
formę liczby mnogiej: „Im więcej będziecie osz-
zczędzali, tym lepiej będziecie mieszkali”. Formy
„Im więcej będziecie oszczędzali” użyć nie mógł,
bo poza adresem apelu znalazłaby się wszystkie
kobiety. Forma liczby pojedynczej „będziesz” jest
tu rzeczniczną, bo hasło nabiera przez to charak-
teru apelu bardziej osobistego, każdy z nas czuje
się nim obięty, odnosimy wrażenie, że skierowa-
ne jest ono jakby prywatnie do każdego z nas
z osobna.

Inna rzecz, że wątpliwości p. Polasza są uza-
sadnione. Forma czasu przyszłego z bezokolicz-
nikiem, a więc forma użyta w tym hasle, coraz
bardziej zanika i stosowana jest najczęściej ty-
ko tam, gdy formy z imiśłowem (jak np. w wy-
padku tego apelu) użyć nie można lub gdy użycie
jej byłoby nie wskazane. Pisze o tym cieka-
wie Wł. Cyran w ostatnim, trzecim zeszyście dwu-
miesięcznika „Język Polski”. Cytuje przy tym
obserwacje osobiste znakomitego językoznawcy
K. Nitscha: „Którego z dwóch trybów używam
częściej: będę widział czy będzie widział? raczej
pierwszego, gdy drugiego w języku przestawiam:
widzieć będę na pewno używam tylko w pew-
nych układach stylistycznych, bodaj tylko z
przeczeniem: ale ja już tego widzieć nie będę,
gdy np. na pewno nie powiem: ja to jeszcze wi-
dzieć będę”. Przyczyną większej popularności
form z imiśłowem są — zdaniem autora artyku-
liku trzy: pierwsza ta, że znacznie powszechniej-
sze były one w języku staropolskim, druga, że
są bardziej wyraziste (określają wyraźniej rodzaj
osoby mówiącej) i wreszcie trzecia, że formy z
bezokolicznikiem sprawiały wrażenie rusejczyzny
lub germanizmu (budu pisat; ich werde schrei-
ben), choć przypuszczenie to nie jest słuszne.

A więc powtórzmy: obydwie formy są popra-
wne, lecz użycie formy z bezokolicznikiem wy-
rażnie się kurczy.

J. P. PIELARZ

STRZEŻMY SIĘ MOTOCYKLISTÓW!

Mgr SEWERYN BOCKOWSKI

HALAŚLIWIE i szybko prze-
suwa się po naszych dro-
gach i ulicach olbrzymia
ilość zmotoryzowanych
wielbicieli „czaru dwóch
kółek”. Różnego rodzaju
motocykle, skutery i motorowery do-
minują wszędzie — na każdym trak-
cie, szlaku, na bocznych piaszczy-
stych wiejskich drogach i nowocze-
snych arteriach komunikacyjnych.
Wcisną się wszędzie gdzie się tyl-
ko da; nie brak ich między mecha-
nicznymi kołosami, krążownikami
drog, w najwęższych lukach. Jeżdżą
po całej szerokości ulic jak gdyby
byli tylko sami.

Dwukółowe stalowe rumaki stały
się dzisiaj z uwagi na masową pro-
dukcję, dogodnie warunki nabycia,
łatwą obsługę i niskie koszty eks-
ploatacji — powszechnym środkiem
komunikacyjnym. Dzięki imponują-
cemu wzrostowi dwukółowej moto-
ryzacji w naszym kraju stał się mo-
żliwy rozwój sportów motorowych
i taniej masowej turystyki. Nie ma
już dzisiaj problemu tzw. głębokiej
provincji. Odsobnione niedgdy osie
dla jak gdyby przybliżyły się do
miast, a ich mieszkańcy z łatwością
pokonują własnym motocyklem kil-
kunastokilometrowy odcinek drogi.
W Polsce motocykl przestał być
miernikiem zamożności obywatela,
stał się czymś zupełnie normalnym,
potrzebną na co dzień.

Na ogólną liczbę 1.130.000 pojaz-
dów mechanicznych zarejestrowa-
nych w Polsce, 790.000 stanowią mo-
tocykle, co wskazuje na znaczną
przewagę nad samochodami osobo-
wymi.

Dalszy rozwój motoryzacji w na-
szym kraju wskazuje, że jeszcze
przez szereg lat proporcja ilości mo-

tocykli do samochodów osobowych
będzie kształtowała się na korzyść
tych pierwszych. Wpływa na to szre-
reg okoliczności, a zwłaszcza fakt,
że samochód nie dla każdego jest
dostępny ze względu na wysoką ce-
nę kupna, stosunkowo znaczne kosz-
ty eksploatacji i trudności związane
z garazowaniem.

Ilościowa hegemonia motocykli
ma jednak swoją odwrotną, mniej
imponującą stronę.

Motocykliści zagrażają bezpieczeń-
stwu i porządkowi publicznemu w
znacznie większym stopniu niż to
czynią inne grupy kierowców, a jed-
nocześnie bardziej narażają się na
własne niebezpieczeństwo śmierci
lub kalectwa.

W okresie ostatnich kilku lat licz-
ba wypadków motocyklowych nie-
pokojąco wzrosła, przy czym winę
ponoszą przeważnie sami motocy-
kliści. Codziennie czytamy w pra-
sie wiadomości o tragicznych skut-
kach tych wypadków, o ranach i ka-
lectwie ludzi nie tylko odpowiedzial-
nych za spowodowanie katastrof,
ale i cierpieniach postronnych prze-
chodniów. Jakże często czytamy wi-
domości o tym, że na autobus wpadł
nieuważnie jadący motocyklista po-
nosząc śmierć na miejscu, że pijany
motocyklista wjechał na ludzi idą-
cych chodnikiem czy oczekujących
na tramwaj. Przyjmujemy te wiado-
mości niejednokrotnie z pewną
obejernością, z lekceważącym mach-
nięciem ręki. Nie zawsze zdajemy
sobie sprawę z tego, że na drodze
nieszczęście czyha na każdego z nas.
Skape, lapidarne wiadomości pras-
owe składają się na późniejsze liczby
statystyczne, a każda z tych liczb to
zabity lub ranny człowiek. Poniższe
zestawienie ilustruje wzrost wypad-

ków motocyklowych na przestrzeni
ostatnich trzech lat:

W roku	wypad- ków	zabi- tych	ran- nych
1958	3949	419	3963
1959	6163	628	6747
1960	8156	737	8738

Stan nietrzeźwości kierowców mo-
tocyklowych powodujących wypadki
jest również niepokojący. I tu po-
służmy się statystyką. W roku 1958
pijani motocykliści spowodowali 832
wypadki, w których zginęło 131 osób
i 897 zostało rannych. W roku 1959
liczby te podskoczyły w górę —
w ubiegłym roku ilość katastrof
wzrosła do 2059, w których śmierć
poniosły 254 osoby, a 2272 odniosły
obrażenia.

W samym tylko woj. katowickim
w roku 1960 z winy motocyklistów
zdarzyło się wiele wypadków, które
ilustruje poniższa tabela:

wypadki zabił ranni			
Nie stwie- rdzono alko- holu we krwi	1109	114	1215
w stanie nietrzeźwym	174	23	208

Nie będzie chyba żadnej przesady
jeśli zawołamy: „Ludzie strzeżcie
się motocyklistów!”

Powazna ilość wypadków w la-
tach 1958 — 1960 spowodowanych
przez kierowców motocykli, wyka-
zuje wysoce niepokojące zjawisko
tak w skali całego kraju jak i na te-
renie naszego województwa. Infor-
macje z pierwszego półrocza 1961 r.
wykazują dalsze pogorszenie sytu-
acji na drogach spowodowane przez
motocyklistów.

Wiele jest czynników składających
się na ten stan rzeczy. Zie warunki
atmosferyczne, jazda nocą, stopień
natężenia ruchu, stan techniczny po-
jazdów, doświadczenie — to tylko
niektóre elementy dotyczące zagad-
nień ruchu drogowego, szczególnie
ważnych przy badaniu wypadków
motocyklowych.

Rozpatrzmy np. problem dróg. W
większości naszych miast torowiska
tramwajowe biegną środkiem jezdnii.
Nierówno ułożone szyny, niebezpiecz-
ne wgłębienia, zwłaszcza gdy obok
istnieje szereg wywrw, stwarzają dla
pojazdów motocyklowych szczegól-
nie duże niebezpieczeństwo.

A WYPADKI wynikające z
z obłożenia dróg? Nie od
rzeczy będzie tu porusze-
nie sprawy tzw. zraszania
ulic przez polewaczki
Miejskiego Przedsiębior-
stwa Oczyszczania. Otóż w wa-
runkach olbrzymiego zapylenia
przemysłowego naszych ulic, polewa-
nie doprowadza do powstawania śli-
skiego błotka. Zmniejsza to znacznie
przeprężność motocykli do nawierz-
chni drogi, stwarzając równocześnie
większe ryzyko bocznego poślizgu.
Ponieważ motocykl w czasie jazdy
zawsze znajduje się w pozycji chwiej-
nej, panowanie nad nim w tych wa-
runkach jest znacznie utrudnione

nie mówiąc już o tym, że błotnista
nawierzchnia doprowadza do wydłu-
żenia drogi hamowania.

Niebezpieczeństwo jazdy motocy-
klistów wynika jeszcze z rozpowsze-
chnionego zjawiska na naszych dro-
gach nieliczenia się przez kierow-
ców większych samochodów z mo-
tocyklistami. Kierowcy kołosów dro-
gowych „z góry” traktują motocy-
klistów nie szczedząc im uszczypli-
wych uwag w rodzaju „z drogi pe-
taku bo cię rozgniotę”.

Motocykliści przeważnie nie zdają
sobie sprawy z niebezpieczeństwa
grożącego im w tego rodzaju sytu-
acjach, a brak umiejętności i do-
świadczenia w manewrowaniu pojaz-
dem, zawsze naraża ich na poważne
niebezpieczeństwo.

Jeśli już mowa o bezpieczeństwie
jazdy motocyklistów należy zwrócić
uwagę na konieczność upowszech-
nienia kasków ochronnych. Sprawa
ta do chwili obecnej nie nabrała
właściwego rozmachu. Widzimy heł-
my w telewizji, na kronikach film-
owych i zdjęciach reklamowych,
ale nie na głowach motocyklistów
i ich pasażerów.

Tak widzimy motocyklistów od
strony grożącego im niebezpieczeń-
stwa z ich winy. Życie ukazuje nam
również ludzi za kierownicą moto-
cykla jeszcze od innej strony. Na-
rzekają na nich wszyscy i niestety
trzeba przyznać im rację.

Motocyklistów najbardziej owład-
nął demon szybkości. Widok rozwy-
drzonego chuligana na „Jawie”, „Ju-
naku” czy „WFM-ce” hałaśliwie pe-
dającego na całym gazie poprzez ru-
chliwe ulice i uciekających przed
nim z „duszą na ramieniu” prze-
chodniów widzimy na każdym kroku.

Nieodrodnym są zjawiska niebez-
piecznego ścigania się motocyklistów
z szybko jadącymi samochodami, zwłasz-
cza osobowymi, niezachowywania na-
leżących odległości między pojazdami.
Motocykliści nie tylko narażają siebie
i pasażerów na niebezpieczeństwo ale
i stwarzają potencjalne zagrożenie w
całej komunikacji drogowej na swoim
odcinku jazdy.

TEGO rodzaju postępowanie
wynika nie tylko z jawnej
ignorancji przepisów drogo-
wych, ale i z nieznaności
teorii zasad ruchu. Droga ha-
mowania motocykla jest prze-
cież znacznie dłuższa niż ha-
mowania samochodu. Motocykli-
ści nie chcą o tym wiedzieć. Za-
pominają również, że osiemdziesiątka
czy setka na liczniku, to posuwanie się
motocykla z szybkością kilkunastu czy
kilkudziesięciu metrów na sekundę.

Motocykliści namiętnie nie stosują
się do zasad mijania, oślepiając prze-
ciwnika. W szczególności ma to miej-
sce na drogach poza miastami. Nie
przepisowo przewożą pasażerów. A
przecież jazda bokiem na motocyklu
czy skuterze jest niebezpieczna i za-
groża życiu pasażera.

Sprawa ostatnia, to hałas. W tym
zakresie motocykliści są bezkonkuren-
cyjni. Jazda bez tłumików jest nagmin-
na. Nie pomagają narzekania, uwagi i
reprezje administracyjne. W hałasie
motocyklisty zatracili poczucie jakie-
gokolwiek rozsądku. Sprawa jednak
nie tylko dotyczy spokoju otoczenia.
Hałas rozprasza uwagę wszystkich użyt-
kowników dróg, zagłusza potrzebne
sygnały. W takich warunkach zagroże-
nie bezpieczeństwa ruchu jest szczegól-
nie duże.

Postępowanie motocyklistów musi
uieć zmianie. Podniesienie dyscypli-
ny i kultury ruchu wśród tej kate-
gorii kierowców jest konieczne. Al-
kohol, nadmierna szybkość, brawura
i lekkomyślność muszą zniknąć z
naszych ulic i dróg. Motocykliści po-
winni zdać sobie sprawę z chęć im-
ponowania ryzykiem, zrzecznością i
odwagą jest zwykłą głupotą, za którą
płaci się ciężki haracz, w postaci
śmierci i kalectwa.

PO WRZEŚNIOWEJ KLĘSCIE

JAKICH MIELISMY SOJUSZNIKÓW?

STANISŁAW LEWICKI

ABWEHR - ABTEILUNG W AKCJI

umowy monachijskiej: Francja, Anglia, Niem-
cy i Włochy. Sugestie hr. Ciano spotkały się
z życzliwym przyjęciem ze strony ambasadora
Poncet. Po powrocie do Paryża złożył on do-
kładną relację z przebiegu ryzyknych rokowań
na posiedzeniu Rady Ministrów. Nie było winą
Ponceta, iż te pertraktacje nie przyniosły oczek-
iwanych efektów. Wydaje się jednak, że tego
rodzaju działania ówczesnego rządu francuskie-
go stanowią — przynajmniej częściowo — wy-
jaśnienie braku akcji militarnej na froncie zachodnim we wrześniu 1939 r.

NA WYŚCIGI

Dyplomatyczne posunięcia Paryża oraz ten-
dencje do pośredniczenia w pertraktacjach, de-
monstrowane w Rzymie, spotkały się z przy-
chylnym oddźwiękiem w kołach oficjalnych sto-
licy Anglii. Rząd brytyjski nie zamierzał jednak
zająć w tych sprawach postawy pasywnej.
Wprost przeciwnie — dyplomacja brytyjska
chciała przejąć w swe ręce inicjatywę w dzie-
dzinie nawiązania i prowadzenia rokowań
z Niemcami. Można tu było nawiązać do rozmów
prowadzonych już w lipcu i sierpniu z przed-
stawicielami niemieckiego MSZ. Sir Neville
Henderson, b. ambasador W. Brytanii w Berlinie
już w październiku 1939 r. — za zgodą ministra
spraw zagranicznych lorda Edwarda F. Halli-
faxa — rozpoczął akcję dyplomatycznego son-
dżu. I tak np. w przemówieniu, wygłoszonym w
londyńskim Klubie Prasy, Henderson powiedział
dosłownie: „utworzenie Wielkich Niemiec jest
wzrostem idea”. Była to niewątpliwie zupełnie
niedowzmaczana deklaracja pod adresem Nie-
miec. Interesująca może być to okoliczność, że
to oświadczenie stało się przedmiotem interpe-
tacji w Izbie Gmin na posiedzeniu w dniu 22 li-
stopada 1939 r. Posłowie J. Manderowie odpowia-
dał wówczas rzecznik MSZ, nie dewalując wy-
powiedzi Hendersona, a przeciwnie podkreśla-
jąc wielkie znaczenie działalności ambasadora
w ostatnim okresie.

magazyn TR

Podejmowane przez Francję i Anglię kroki, zmie-
rzające do zawarcia rozejmu z Niemcami, zbiegły
się w czasie z identycznymi posunięciami wysoko
postawionych osobistości Rzeszy. Wymienić tu trzeba
przede wszystkim kierownictwo niemieckiego
wywiadu — admirała Wilhelma Canaris, gen. Hansa
Ostera, pułkowników: Helmuta Grossecurtha
i Hansa v. Dohnanyi. Ludzie ci postanowili nawi-
ązać kontakty z politykami francuskimi i brytyjski-
mi, aby uzyskać od nich sprzyjające im warunki
warunków pokojowych. Emisariuszem niemieckiego
wywiadu został, delegowany w tym celu, b. wice-
prezes bawarskiej, katolickiej „Volks-Partei” — Jo-
seph Mueller. W pierwszych dniach października
1939 r. udał się on do Rzymu i przy pomocy Waty-
kanu nawiązał pertraktacje z dyplomatami angli-
kami i francuskimi. Ze strony niemieckiej w rok-
owaniach brał udział ambasador w Rzymie, Ulrich
v. Hassel. Niemiecka Abwehra reprezentowała tu
stanowisko opozycyjne wobec polityki Hitlera. Cała
ta akcja miała oczywiście charakter głęboko zakom-
eprowany.

Według układanych w Rzymie planów Hitler miał
odejść. Natomiast człowiekiem, na którego pozosta-
wienie u steru rządów zgadywały się obie strony, był
marszałek Rzeszy, Hermann Goering. Na niego sta-
wiała wpływową część niemieckiej, elitarniej opo-
zycji i jego też chcieli zobaczyć na czele rządu —
przynajmniej w okresie przejściowym — zachodni
elityści. Był on określany tam jako „umiarkowany
hitlerowiec”. Reprezentował też tzw. dobre, nie-
mieckie tradycje militarystyczne. Miał jeszcze je-
den walor dla sfery rządzących, bojących się panie-
rów rewolucyjnych nastrojów — zapewniał ciągłość
władzy. Dla ówczesnych poglądów francuskich i an-
gelskich polityków zgoda na pozostawienie Goeringa
u steru była nader znamienna.

Dobitniej jeszcze charakteryzują te nastroje
wstępne warunki pokojowe, aliantów, dążące
w formie dokumentu J. Muellera. Pamiętamy,
że był to październik 1939 r. — Anglia i Francja,
związane sojuszem z Polską, bezpośrednio po jej
militarnej klęsce, przystępowały do rokowań, ma-
jących zabezpieczyć wyłącznie ich własne interesy.
Oto w skrócie warunki proponowane Niemcom: 1)
niepodległa Polska zostaje restytuowana w granic-
ach „Kongresówki”; 2) Galicja, 3) Czechosłowacja
pozostaje w orbicie wpływów niemieckich, 4) na
zachodzie granice pozostają bez zmian, 5) aneksja
Austrii będzie raz jeszcze potwierdzona. Był to
pierwszy wariant propozycji anglo-francuskich.
Emisariusz Abwehry J. Mueller w ciągu paździer-
nika i listopada parokrotnie krążył między Mona-
chiem a Rzymem. W tym okresie sztab Canarisa
rezydował właśnie w stolicy Bawarii. Propozycje
konsultowane z czołowym, przedstawicielami nie-
mieckiej opozycji cywilnej i wojskowej: C. Goer-
delrem, C. v. Neurathem, gen. L. v. Beckem, gen.
F. Halderem, Niemcy targowali się o lepsze wa-

runki — o kolonie, rynki zbytu i wpływy w połud-
nowo-wschodniej Europie. Pertraktacje z angielski-
mi i francuskimi dyplomatami przeciągały się. Nie-
mieccy opozycjoniści nie czuli się wciąż jeszcze do-
statecznie silni, by wystąpić przeciwko Hitlerowi.
Aliaanci domagali się jednak odsunięcia Hitlera od
władzy. Wdaje się, że była to wiedź jedyna istot-
na przeszkoda na drodze do pełnego uzgodnienia
stanowisk.

DRUGI ETAP ROZMÓW

Po trwającej 3 miesiące przerwie wznowiono
na terytorium Włoch, w miejscowości Arosa
pertraktacje z Niemcami. Tym razem główną
rolę odegrał w nich ambasador angielski przy
Watykanie, G. Osborne. Francuzi w tej drugiej
fazie negocjacji nie byli reprezentowani. Prze-
sądziła o tym, być może, tendencja Anglików do
ustępstw wobec Niemiec także i na zachodzie.
Wyrażało się to zgodą na powrót Alzacji i Lo-
taryngii do Rzeszy. Trzeba jeszcze dodać, że na-
wet niektórzy przedstawiciele niemieccy zdzi-
wienie byli tą propozycją. Ze strony niemieckiej
nadal uczestniczyli w rokowaniach U. v. Hassel
i J. Mueller. Ten ostatni był w lutym 1940 r.
przyjęty na audiencji u papieża Piusa XII. Pa-
pież podkreślał wtedy konieczność rychłego za-
warcia pokoju, oparte go na zasadach moralno-
ści chrześcijańskiej. W tym samym kierunku
działały stale pewne osobistości włoskie z krę-
gu min. Ciano.

Pozycje przetargowe zbliżone były do skry-
stalizowanych na pierwszym etapie rozmów.
Coraz bardziej istotne stawało się zrealizowanie
posunięć zmierzających do usunięcia Hitlera.
Opozycjoniści zdecydowali się więc na wtajem-
niczenie w swoje plany marszałka W. v. Brau-
chitscha, zwierzchnika Wehrmachtu. Tej misji
poddął się gen. G. Thomas, szef Wehrwirtschafts
amtu. Zdawało się, że v. Brauchitsch, informo-
wany w listopadzie o pierwszych wynikach roz-
mów, poprze teraz definitywnie koncepcje opo-
zycji. Stało się jednak inaczej. Obaj dowódcy
Wehrmachtu, v. Brauchitsch i Halder, zdecydow-
anie odrzucili obecnie plan zawarcia pokoju.
Tym samym poparli oni Hitlera w jego przygo-
towaniach do agresji na zachodzie.

W tej sytuacji pertraktacje w Arosa zostały
znów zawieszone. Jednak jeszcze w drugiej po-
łowie kwietnia 1940 r. — już po najedźcie na
Danię i Norwegię — ambasador G. Osborne
oświadczył v. Hasselowi, że rząd brytyjski pod-
trzymuje swoje propozycje. Dopiero ofensywa
Hitlera na Belgię, Holandię i Francję spowodo-
wała przerwanie — co prawda tylko na pewien
czas — tajnych negocjacji z Niemcami.

TELEWIZYJNIE w naszym
kraju są świadkami coraz
ostrzej zrywającego się
paradoksu. Polega on na tym,
że czym więcej ludzi ogląda
program telewizyjny, tym więk-
szą, mówiąc ogólnie, niefras-
obliwość wykazują ci, którzy ma-
ją dbać o poziom artystyczny, a
przede wszystkim, techniczny
tego programu. Co gorsze, nie
widac żadnych perspektyw
zmiany na lepsze. I na progu
prawa w całym kraju jedno-
myslnie bije na alarm, darem-
nie zawodowcy i wolontariusze
notują bez ustanku w setkach
artykułów i notatek setki „błę-
dów i wypaczeń” naszej TV.
Bez skutku. Nie nie pomaga.
Program jest coraz gorszy. Jego
linia produkcyjna wyraźnie bie-
gnie w dół.

Powie ktoś, że nie wszystko
jest złe, że od czasu do czasu
zdarzają się i dobre punkty
programu, że Dziennik telewi-
zyjny jest coraz ciekawszy, że
dobre są programy Karola Lu-
bela, że wiele cennych po-
zyty przynosi „Pegaz” czy cykl
„Muzka i pociąg”, że niektóre
spektakle Teatru Telewizyjnego.

Zgoda. Ale to wyjątki, rodzy-
nki w programie. Nie one decy-
dują o jakości, są tylko dowa-
dem, że gdy chcemy, to po-
trafiamy.

Albo umówmy się: kupujemy
telewizor wyłącznie po to, żeby

obejrzeć Dziennik TV. Jakis
program rozrywkowy, Kabaret
Starszych Panów, — KOBRE,
(wszystko jedno, drugiego typu,
czy już „poprawiona”) i...
cóż by jeszcze? Może transmisję
sportową i koniec. Cześć pie-
ni! Reszta — jak się uda.



Otóż to. Jak się uda, bo o-
gromnie często się nie udaje.
Nasza telewizyjna produkcja
przypomina kłopoty kulinarne
nowo upieczonych małżeństwu,
w którym młoda gospośka z roz-
paczą myśli o zbliżającej się
porze posiłku. Jeszcze bardziej

porównanie to wyda nam się
trafne, gdy podśmiejemy o smut-
nym i żądumie małżonka wracają-
cego po pracy na obiad pełen
niespodzianek. Uda się czy nie?

A telewizyjnej jakości ku-
charskiej nie ma. Chyba dla
tego w naszej TV, powiedzmy
to sobie wyraźnie, kwitnie w
najlepsze przypadkowość, impro-
wizacja, grube niedbalstwo w
przygotowywaniu programu ab-
solutny brak troski o interesy
widza, lekceważenie jego zain-
teresowań przyzwyczajają, a
przede wszystkim — czasu.

Mówią nam: nie mamy po-
mieszczeń odpowiednich, nie
mamy warunków technicznych,
brak telerecordingów, ampxow,
czy jak im tam...

Odpowiadamy: nie nas to nie
obchodzi. Nie odpowiedzialnie
czegoś na antenie TV, czego nie
możecie dotrzeć. I jeszcze
jedno: nikt nie uwiery, żeby w
kraju, w którym telewizja jest tak
potężnym narzędziem wycho-
wawczym, w którym ma do speł-
nienia tak ogromną rolę kultu-
ralną i światową — zabrakło
pieniędzy na jej rzeczywiste po-
trzeby. To nonsens. Nie powo-
lujemy się na taki argument.

A zresztą czego dowodem jest
fakt, że podczas 57 „Pegaza”
aparatura telekina dwukrotnie
odmówiła posłuszeństwa
demonując program, niszcząc

Jego konstrukcję. Jeżeli zaś na-
wet nie dało się wcześniej
przygotować telekina, to czy
trzeba było program „Pegaza”
oprzęć właśnie na wstawkach
filmowych? Czy to przy-
padkiem nie czyjeś niedbal-
stwo, lub mówimy jasno — nie-
chujstwo, skompromitowało na-
szą TV w ubiegły piątek?

A czego dowodzi lekceważenie
widza zapychanie przerwy progra-
mowych reklamami nieraz krótko-
metrażowymi filmowymi, bez
podawania ich tytułów?
Kto odpowiada za nieustanne
hałas w studio podczas nad-
awania widowisk, programów
publicystycznych itd. Ileż razy
dochodzą naszych uszu nieczym
umotywowane awarie akus-
tyczne podczas zapowiedzi
spektaków?

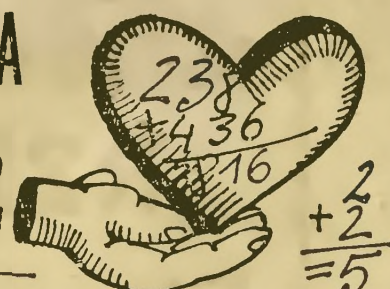
Kto za to wszystko odpowia-
da? I w ogóle, jak to jest w TV
z odpowiedzialnością za spartole
nie programu? Niewiele o tym
wiemy. A tak byśmy się chcieli
dowiedzieć!

Na razie jednak kwitujemy
szczerunkiem bardzo dobry spe-
ktakl przygotowany przez Teatr
Telewizyjny Łódzkiej strefy Lebo-
wica i Obrenowicia „Himmelkom-
mando”, której polską prepre-
mię przygotował przed kilku
laty Teatr Zagłębia w Sosnow-
cu. Bardzo nam się podobał
zwłaszcza Ignacy Machowski i
Ludwik Benoit. ALBAN

KALMAN SEGAL

SERCE REFERENTA

13458976434897642



Rys. R. TWARDOCH

NAPIĘKNIJSZE lata swego życia spędził st. referent Piórko nad cyferkami. Pochylony nad biurkiem pisał te cyferki i sumował, oceniał przy ich pomocy dochody i straty, wpływy i wydatki, aktywa i pasywa. Gdyby te jego cyferki ustawiać w jednym szeregu lub w jednym rzędzie, utworzyłaby się ścieżka równa długości drogi od Niepolomice do Buenos Aires. Gdyby podsumować wszystkie sumy, jakie pan Piórko zapisał w swojej długolietniej praktyce, starczyłoby na zakupienie połowy Ameryki, a za resztę można by jeszcze wystawić ładny domek z ogrodem i jednorodzinną w willowej dzielnicy.

Tyle cyfr napisał w swoim życiu starszy referent Piórko i mimo to nie pozwolił unieść się pysze. Wprost przeciwnie, pozostał człowiekiem skromnym i pełnym pokory, zaś jego marzenia nie mają nic wspólnego z chciwością lub żądzą bogactw.

Właśnie o marzeniach rozmawiali któregoś dnia bywalcy Gospody pod Rudą Cecylią, i tam padło z ust st. referenta pamiętne zdanie, pełne niezaprzeczalnego liryzmu i głębokiej poezji.

— Marzenia to zacząłowy klucz do szczęścia — powiedział pan Piórko.

Wszyscy obecni na chwile pograżali się w zadumie, tylko były radca P. popatrzył pogardliwie na starszego referenta i odezwał się z przekasem.

— Pan też mówi o marzeniach? Pan, który patrzy na życie przez pryzmat suchych cyfr i beznamiętnych statystyk.

Referenci nie umieją marzyć. Serca referentów są ockłe i zimne.

W tym miejscu emeryt Piwko gorąco zaprotestował i stał w obronie starego przyjaciela, stwierdzając, że nie ma większej różnicy między referentami, a innymi ludźmi, i że często przeciętny referent posiada duszę szlachetniejszą od niejednego artysty.

St. referent Piórko z zadowoleniem przyjął słowa mądrego emeryta, po czym zwilżywszy gardło lykiem kwaśnego mleka, utkwił zamyślony wzrok w nieokreślonej dali i rozpoczął swoje zwierzenia.

— Bywają chwile, kiedy w duszy człowieka odzywa się najczulsze pragnienie i tajemna tęsknota. Człowiek zapomina o swoich latach i o swoim stanowisku służbowym, i wychodzi wieczorem na spacer. Na ulicach — neonów, a nad głową księżyc srebrno-złoty. Na skwerach przechadzą się dziewczęta i damy o różowych włosach i oczach migdałowych, albo niebieskich, i budzą w sercu człowieka słodkie nadzieje. Bo ja, proszę panów, wciąż jeszcze wierzę, że pewnego dnia spotkam moją wielką miłość.

Tu emeryt Piwko wstrząsnął głową, że miłość po sześćdziesiątce bywa uczuciem ryzykownym i zgubnym. Zaś inny z grona przyjaciół zapytał, czy pan Piórko był już kiedyś żukochany.

— Owszem — odparł st. referent. — W latach niezapomnianej młodości istniała w naszym mieście słynna oberża Pod Wierzbowym Sercem. Właściciel tej oberży miał córkę precyzyjnie urodzoną i ja, proszę panów, kochałem ją miłością najpierwszą. Niestety, byłem w owym czasie zaledwie chłopcem na posyłki, zaś oberżysta był wielkim bogaczem i gardził moim ubóstwem. Córkę oberżysty poślubił zamożny masarz, a ja zachowałem ją w pamięci czystą i niewinną, jak łąka.

I gdy wychodzę na mój codzienny spacer po gwarnej ulicach naszego pięknego miasta, serce bije mi mocno, bo łudzę się, że za chwilę rozpoznaję ją w jednej z młodych roześmianych kobiet. Czasami patrzę na oświetlone wagony dalekobieżnych pociągów, zajeżdżających na dworzec i zastanawiam się, czy pewnego dnia nie przyjedzie do mnie moja pierwsza niewinna przyjaciółka. A gdy wstaję z pracy, zaglądam do skrzynki na listy — czekam na znak i na wiadomość. Ale skrzyneczka jest zawsze pusta, nikt do mnie nie pisze. I w ogóle te moje marzenia są bezsensowne. Wiem o tym, bo przecież oberża Pod Wierzbowym Sercem od dawna już nie istnieje, oberżysta nie żyje, a jego córka jest już starą kobietą. Ale w moich marzeniach pozostała, oczywiście, wiecznie młoda.

St. referent Piórko wyciągnął chusteczkę i otarł dużą łzę, spływającą po policzku. Przyjaciele dyskretnie milczeli.

W gospodzie pod Rudą Cecylią było cicho, cichutko.

A na dworze zapadł wieczór, miasto jaśniało blaskiem jarzeniowych świateł, a nad dachami domów toczył się księżyc — okrążył i piękny jak twarz niewinnej dziewczyny z oberży Pod Wierzbowym Sercem.

ROMANDOS

Wśród tych, którzy ostatnio skakali z wieży spadochronowej na stadionie „Biełkiny” w Kielcach, znalazł się pewien pan w wieku lat około czterdziestu. Po skoku wypadł mu z kieszeni jakiś dokument, który koledy skwapliwie podnieśli i przeczytali. Był to... testament.

„Słowo Ludu”

EMANCYPANTKA

Sąd powiatowy w Radomsku rozpatrywał sprawę Krystyny Czechowskiej oskarżonej o fizyczne i moralne znęcanie się nad mężem. Od pewnego czasu pani Krystyna biła go i używała wobec niego obraźliwych słów i wyzwisk. Przewód sądowy całkowicie potwierdził winę oskarżonej. Krewka niewiasta skazano na 8 miesięcy więzienia.

„Gazeta Radomszczańska”

CYFERKI...

W miejscowości Kamienica (powiat Limanowa) zamieszkałej przez 5 tysięcy obywateli, skupuje się dziennie 630 butelek po winie i wodzie. Zużycie winy w tej miejscowości wynosi natomiast 12 dekagramów rocznie na głowę.

BISKUPIN LEŻY MIĘDZY WENECJĄ A RZYMEM

CZY wiesz, gdzie położony jest Biskupin — znana, zrekonstruowana pralawiańska ośrodek duży i polski lat?

Otoż nie tak trudno to zapamiętać — po prostu między Wenecją a Rzymem.

Nie, nie należy szukać Biskupina na mapie Włoch.

Czyli w tym celu mapa powiatu włoskiego. Łączy się z nią przekonać, iż Biskupin sąsiaduje z Wenecją i Rzymem. Przy czym w Polsce jest dużo bliżej do Wenecji niż do Włoch. Obie te miejscowości oddalone są od siebie zaledwie o 14 kilometrów.

Wenecja — kiedyś miasteczko, dziś wioska, rozłożyła się na przemyku pomiędzy jeziorami Włocławek i Biskupin. Imię swoje zawdzięcza zapewne wodniemu położeniu. Nazwał ją

tak prawdopodobnie najmlodszy z rodu Nielechów — Mikołaj, który jako kasztelan nawiązał, a potem sądził kościół, urodził tu około 1390 roku potężne mury — zameczek. Na przetrwanie wieków różne były jego losy. Do dnia dzisiejszego przetrwały już tylko ruiny zameczka, z którym związanych jest wiele ciekawych i tajemniczych legend. Wśród nich najpopularniejsza jest podanie o krawczyku weneckim. Mianem tym obdarzono samego Mikołaja z rodu Nielechów za państwowe okoliczności.

Rzym — to ma sąsiadująca z Biskupinem miejscowość. Podobnie jak Wenecja, z pewnością zawdzięcza swoją nazwę krawczykowi któregoś z jej byłych właścicieli. Głównie było zresztą o niej w ubiegłym roku z rzymskiej olimpiady.

Tak olimpiad! Trzeba bowiem wiedzieć, że i tu — w polskim Rzymie równocześnie ze świątecznymi igrzyskami we Włoszech — odbywała się olimpiada, w której reprezentowana była świąteczna olimpiada zawodników olimpijskich.

Rzym i Wenecja — to jednak nie jedyny „egzotyczne” nazwy miejscowości sąsiadujących z popularnym Biskupinem. W ich nie do dalszego sąsiedztwa leżą bowiem również inne, o niemiennie głośnych w świecie nazwach, jak np. Paryż, Salscia, Bagdad.

(zb)

DRZĄZGI

CZY CHATA BOGATA

Na szlaku turystycznym, wiodącym na Św. Krzyż, widnieje tablica głosząca następujące przesłanie: „Turści PTTK proszą was, abyście nie chodzili po polu tylko według szlaku turystycznego i nie ma rozsiadania po polu żeby nie było przyjemności z nami gospodarzami”. Zdjęcie tego milego obwieśnienia publikuje „Słowo Ludu”

PEDAGOGICZNY i dyplomowany mulla Safan Dulla, zarządzeniem zych czynów obecny był przy posilku wieczornym, jaki pożywał syn jego 5-letni Ali ben Safan. Przed Alim stawiono miskę soczewicy, lecz dziecię, przez szęjtana opętane, wsadziło ręką do miski na głowę ojcu i głośno dopominało się o manne, którą też niezwłocznie otrzymała. Manne podzieliła los soczewicy z tą tylko różnicą, iż wyładowała na czarnych włosach brązowookiej Hanneh. Z kolei miska pełna potrawy, zwanej przez gajarów „kluszek” oddobła twarz piastunki Alego rudowłosej Jass-h. Dopiero gdy owoc miłości mully Safan-Dully otrzymał do spożycia talerz owsianki, którą zwykli żywić się poga-



MAŁOZNAJ
ZŁOTY
SAFAN-B
DULLA

niacze mullów, niebiosza przajaśnili się i pierwsza lizka zgnęła zgrabnie w uszach Alego. Na tym jednak Ali ben Safan poprzestał, wobec czego dyplomowany jego ojciec, brązowooka matka, ruda piastunka Jassah oraz wszyscy krewni pospółu ze służbą, jeśli prawie czynili, bić w rondo, kucać, kwiczeć, śpiewać, kłaskać i tańczyć, iżby dziecię jadło, co mu przeznaczone. Po godzinie rzeki zdyszany mulla Safan-Dulla:

— Jako że nie apetytu syna mego podniecić nie może, dajcie mi powróć podwójnie skrocone, iżbym nim poślął mego dziecięcia osmałać, a w ten sposób rozum jego, który opuścił się do tyłka, z powrotem na miejsce swoje, w głowie będące, powrócił...

I rzekła wczas żona jego Hanneh:

— Och, ty mrówkojadzie, zrodzony z żądzy wyniataj hienv i rezygnacji kulawego wielbłąda! Przecież dziecię, którem na świat wydała chcesz powrócić karcie?! Dajcie służbni powróć, ale poczwórnie skrocone, iżbym nim mego dyplomowanego małżonka mogła razy parę przeciągnąć!

I dziwił się mieszkaniec Buchar, że nim jeszcze słońce zaszło ujrzał mullę Safan-Dullę za stołem w gospodzie Etruska Rexusa, jak pełen rezygnacji pociągał sorbet z dzbaną...

Z Żywota przepisal:
ST. BROSKIEWICZ

Foto: W. Wawrzynkiewicz

ta, Anglik Stirling Moss: — „Do kobiety człowiek może się przyzwyczaić, do wozu — musi...”

dnia kręcenia filmu, to wszystko przepadło. Lepiej wówczas iresować słoni niżi filmować z B. B.”

kie sprawy dotyczące nowej firmy, tylko nie mogą dojść do porozumienia, co do nazwy i szylu...”

Amerykański aktor filmowy Stephen Boyd, który ostatnio nakręcał film z Brigitte Bardot, o współpracy z B. B. — „Jeśli Brigitte nie poślubi intymnie swego partnera najpóźniej w drugim

Theodor Eichenburg, rektor zachodniemieckiego uniwersytetu w Tuebingen: — Cały handel wokół koalicji CDU z FDP, przypomina dwóch współników, którzy już dawno ugodzili wszyst-

Amerykańska aktorka filmowa June Allyson: Najgorsza jest ta niepewność, już dawno wyszłabym powrócić za mąż za swego poprzedniego męża, ale czy do tem nie rozwińdziemy się znowu?...”

PoWiE DZIE Li

dzając obawy na cudze utwór.”

Marylin Monroe odpowiadając portierowi wypełniającemu formularze meldunkowe: „Samotna, mężatka, rozwiedziona — Wszystko!”

Samochodowy mistrz świata

autentyczne

Wyrozumiała administracja

W jednym z tokijskich kinoteatrów pokazuje się od dłuższego już czasu za zwykłą opłatą film pt. „Ludzka egzystencja”. Projekcja tego obrazu trwa... dziesięć i pół godziny. Na zdanie widzów, wyrozumiała administracja kina wyraziła zgodę na dwie przerwy w projekcji — jedną na śniadanie, drugą na obiad.

Żądza sławy

Sto lat temu francuski dziennik „La Gironda” informował o wydarzeniu, przy którym do dziś bledną wszystkie historie o ludziach żądnych sławy. Otoż pismo donosiło, że policja aresztowała osobnika, który posiadał odznaczenie przyznawane przez rząd francuski specjalnie za ratowanie tonących. Osobnikowi temu odznaczenie to jednak nie wystarczyło. Postanowił „zasłużyć sobie” na słynną Legię Honorową. W tym celu namówił 14-letniego chłopca, aby rzucił się z mostu do Garonny. Oczywiście obiecał chłopcu, że go natychmiast wyratuje i jeszcze zapłaci „za fatygę” 10 franków. W ten sposób chciał zdobyć sławę niezłomnego ratownika.

Plan się jednak nie udał. Chłopiec porwany bowiem silnym prądem utonął w nurtach rzeki zanim amator Legii Honorowej zdążył popłynąć mu z pomocą. „La Gironda” nie podaje, jaka kara spotkała zbrodniczo lekkoomyślnego „ratownika”.

Faruk

w roli awanturnika

Niedaleko francusko-egipskiej granicy miała niedawno miejsce chulińska awantura, której sprawcą był eks-monarcha Egiptu — Faruk. Były król nie mógł darować kierowcy autobusu, że ten nie dał mu pierwszeństwa przejazdu, zażądał więc autobusu i zaczął prowokować szofera. Ten jednak nie należał do ludzi, którzy dają sobie w kaszę dmuchać — nawet, jeśli dmuchający są zdekoncentrowani królowi. W rezultacie Faruk w stanie mocno pokiereszowanym został odstawiony do najbliższego komisariatu policji.

KRAMIK Osobliwości

NAPIS

Nad jednym z barów w Los Angeles widnieje następująca uwaga: Nasz mikser przygotowuje państwu bardzo chętnie wszelkie trunki. Ze swymi żalami i zmartwieniami prosimy jednak zwracać się do naszego psychoanalityka...”

SPOSÓB

Do okienka kasowego banku w Montrealu podszedł gangster i pokazując luźny rewolwer, zażądał pieniędzy. Kasjerka zamiast banknotów wsunęła w luźny pistolet długopis. Rabaus uciekł...

REKLAMA

Nowojorski księgarz Wendell Gorter każdemu kupującemu dwadzieścia książek dodaje gratisowo butelkę whisky. Interes prosperuje znakomicie. Albowiem — twierdzi pomysłodawca — spiritus movens i spriritus vini uzupełniają się znakomicie...”

WERBUNEK

Plakat werbunkowy brytyjskiej armii zawiera między innymi następujące sformułowania: „Nie tracicie czasu na dojazdy do pracy! Mieszkacie od razu na miejscu!” Na innym zaś: „Gdy pragniecie tanio chodzić do kina, nie ma lepszej drogi, jak przez zaciągnięcie się do wojska. Miłośnicy kina, odwiedźcie jeszcze dziś najbliższe biuro werbunkowe!”

ZGUBA

Evald Karlson, robotnik szwedzkiej fabryki zapalek w Linköping zgubił przed kilkoma miesiącami obrączkę. Niedawno otrzymał ją z powrotem. Uczciwy znalazca mieszka na Bermudach. Znalazł ją w szwedzkim pudełku zapalek.

RATUNEK

W urzędzie znalezionych rzeczy w Aberdeen (Szkocja) oddano torebkę damską, w której urzędnik znalazł następującą kartkę: „Proszę, nie zgłaszajcie tej torebki jako znalezioną, gdyż od 1947 roku noszę to paskudztwo i chciałabym, żeby wreszcie mój mąż kupił mi nową torebkę...”

NOWINKI FILATELISTYCZNE

GRUDZIEŃ POD ZNAKIEM „URODZAJU”

BIEŻĄCY rok wzbogacił naszą zbiorę znaczków polskich o wiele nowych, pięknych serii. Ale nie na tym koniec. Późnień nadchodzący grudzień stoi pod znakiem filatelistycznego „urodzenia”. Poczta Polska zapowiada bowiem kilka nowych serii, jakie wejdą do obiegu w przyszłym miesiącu.

Oprócz omawianej już w naszym kąciku serii „Tysiąclecie górnictwa polskiego”, w tym samym dniu 4 grudnia wejdzie do obiegu znaczek poświęcony Światowemu Kongresowi Związków Zawodowych.

V ŚWIATOWY KONGRES ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH jako obradować będzie w dniach od 4—18 grudnia 1961 w Moskwie, upamiętniony zostanie okolicznościowym znaczkiem wart. 60 gr. Znaczek obrazować będzie symbolizującą V-kę przetkniętą gałązką palmową na tle obu półkul Ziemi.

XV ROCZNICA POWSTANIA UNICEF — Funduszu Pomocy Dzieciom przy ONZ z którym Polska współpracuje upamiętniona zostanie trzynastkową serią okolicznościową; znajdzie się ona w obiegu już 11 grudnia. Znaczki wartości 40 i 60 gr oraz 2,50 zł przedstawiają: dziecko na tle strzykawki, twarz dziecka symbolizujące ogólnoswiatowy zasięg działalności UNICEF oraz matkę z dzieckiem na tle butelki mleka. Znaczki wydane zostaną na wniosek Ministerstwa Zdrowia.

POLSKIE ZIEMIE ZACHODNIE — ciąg serii zapoczątkowanej w połowie br. wydaniem trzech par znaczków upamiętniających pod koniec grudnia nową parę poświęconą województwu zielonogórskiemu. Znaczek pionowy przedstawiać będzie pięć herbową księżką zagafakiego Konrada II z 1363 roku. Znaczek poziomy zaś jedną z nowocześniejszych, zastrzeżonych hal produkcyjnych Gorzowskich Zakładów Włókien Sztucznych, produkujących siy-on.



Znaczenie wyrazów:

POZIOMO: 4) tkanina impregnowana, 7) nadgrzanie metali przez składnik powietrza, wody itp., 8) dawna miara siewna, 10) najwęższy rezerwuar starożytności, 13) stalica Syjamu, 14) bakcyl, wirus, 15) „wytwórnia” owoców, 17) bity kołot wołowy 19) własnymi oczyma, 20) rzeka w ZSRR, 22) stos atomowy, 24) popioły chwast (liście od spodu pokryte białymi włoskami) 26) przekroczył go Cezar w 49 r. p. n. e., 27) części nogi, 28) coś z biżuterii, 29) dykt.

PIONOWO: 1) piasek, ale nie wierszem, 2) trykot, 3) wiewa, zapal, 5) statua, 6) szybki, mały okręt, 9) dawna miara ciała sypkich, 10) twórczość ludowa, zwyczaj, stroje itd., 11) wiara w czary, przesąd, 12) duży ptak pływający (symbol poświęcenia), 15) o wiele więcej niż dwa, 16)

arteryzm, 18) sprzęt sportowy, 21) rodzaj twardej cegły, 23) baśńowa boginka wodna, 24) daniel dla odpalonego konkurenta, 25) statek powietrzny.

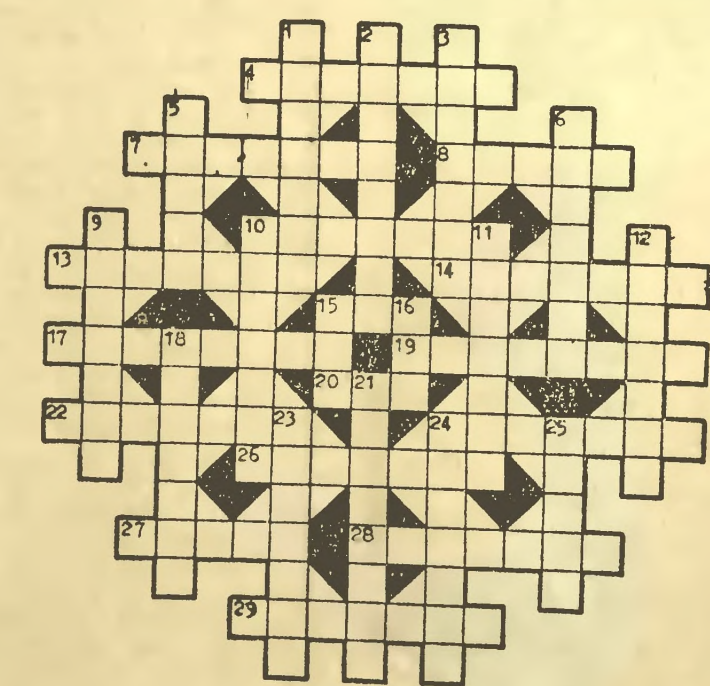
Wśród czytelników, którzy do 19 bm. nadesłały trafne rozwiązania krzyżówki, rozlosowane będą nagrody książkowe.

Rozwiązania prosimy nadsyłać pod adresem Redakcji „Trybuny Robotniczej”, Katowice, ul. Mickiewicza 9, z dopiskiem — Krzyżówka nr 268.

ROZWIĄZANIA KRZYŻÓWKI Z NUMERU 244

POZIOMO: basen, wsgda, zbrocz, doker, lunatyk, klin, golf, powiat, miarka, Peloponez, szafir, daszek, osad, wikt, tekura, kmita, perkoz, okazja, Split.

PIONOWO: faraon, meczet, plątki, szarfa, zdun, bryg, katalpa, literat, komedia, morze,



lapis, lizak, skiepe, fortel, strąk, deko, wrak, krzepa, utopia.

NAGRODY OTRZYMUJĄ:

B. Chmielewska i M. Mierza — Katowice, B. Cwikalik — Mysłowice, G. Kott — Siemianowice Sl., Z. Kowalik — Wojkowice Komorne, M. Michalski —

Bytom, J. Waliczek — Końskie Wielkie oraz A. Wrzalik — Częstochowa.

magazyn nr 9

